

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 22 lutego 1908. Nr. 8.

Krwawe prawybory. (Treść na str. 2).



Treść numeru: **Echa królobójstwa.** — Arystokracya pracy. — Walki w Marokku. — O teatr poznański. — Skon zacnego Rusina. — Ślub skazańca w cytadeli warszawskiej. — Po 25 latach. — Pieszo przez Europę. — Uporczywe pogłoski. — Nowy władca księstwa sasko-altenburskiego. — Król hiszpański na polowaniu. — Nowe prezydyum lwowskiej rady powiatowej. — Śmierć polskiego historyka itd. itd.

Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach.

Krwawe prawybory.

(Do illustracyi tytułowej.)

W ostatnich dniach lutego i pierwszych marca odbędą się w kraju naszym powszechne wybory



Nowe prezydyum lwowskiej rady powiatowej: Leopold Baczewski, nowy prezes rady powiatowej lwowskiej.

do Sejmu, a odbędą się na podstawie dawnej ordynacyi wyborczej. Z tego powodu odbywają się obecnie w całej Galicyi tzw. prawybory. Przebieg ich, zwłaszcza w Galicyi zachodniej, jest poważny i spokojny, a tylko gdzieniegdzie przychodzi do gwałtowniejszych zajść.

W kuryi gmin wiejskich Galicyi zachodniej wystąpili do walki wyborczej w największej liczbie kandydaci polskiego stronnictwa ludowego, które w ostatnich latach zdobyło sobie wśród ludu wiejskiego ogromną popularność i potężne szeregi zwolenników. Kandydat stronnictwa ludowego ubiega się także o mandat w powiecie niskim, z którego posłował dotychczas właściciel dóbr i marszałek powiatu, p. Kostheim. — Przy prawyborach, które w ubiegłym tygodniu zostały w tamtej okolicy przeprowadzone, zdobyła większość lista wyborców stronnictwa ludowego, to też szanse p. Kostheima zmalały gwałtownie. Nie poszło to w smak jego zwolennikom, a zwłaszcza płatnym agitatorom i rozmaitym „hyenom wyborczym“.

Przedmiotem szczególnej nienawiści z ich strony był zwłaszcza ogólnie w powiecie znany i lubiany ludowiec Jan Bojanowski, to też agitatorowie przeciwnej strony umyślili zemścić się na nim. Wydarzyła się ku temu sposobność, gdy w dzień po prawyborach w Bojanowie, ów dzielny gospodarz wszedł do karczmy miejscowej, aby sobie tam kupić tytoniu. W chwili, gdy Bojanowski pojawił się w karczmie, niecni agitatorowie p. Kostheima rzucili się na przybyłego i poczęli go okładać pięściami, a Jan Pisztor, dróżnik przy drodze krajowej w Bojanowie, tak silnie żgnął nożem Bojanowskiego, że ten padł trupem na miejscu. Mordercę aresztowano wkrótce i odstawiono do aresztu sądowego w Nisku.

Smutny ten wypadek wywołał słuszne oburzenie na sprawców mordu, tem bardziej iż ś. p. Bojanowski, człowiek biedny ale uczciwy, cieszył się wśród włościaństwa w okolicy dużym mirem. Staraniem ludowców odbyła się w kościele parafialnym w Nisku msza żałobna za spokój duszy ofiary zaciekłej walki partyjnej.

Nowe prezydyum lwowskiej rady powiatowej.

Po trzydziestu latach przewodnictwa wydziałowi lwowskiej Rady powiatowej, JE. Dawid Abrahamowicz, zamianowany ministrem dla Galicyi, nie mogąc obowiązków prezesa Rady powiatowej połączyć z nowem stanowiskiem, godność tę złożył. Na następcę jego wydział lwowskiej Rady powiatowej powołał dotychczasowego wiceprezesa, p. Leopolda Baczewskiego, którego miejsce zajął znowu p. Waleryan Krzeczunowicz.

W uznaniu zasług, jakie obecny minister dla Galicyi J. E. Dawid Abrahamowicz położył około rozwoju powiatu lwowskiego, wydział Rady powiatowej urządził ubiegłego piątku na jego cześć uroczyste pożegnanie. W świątecznie przystrojonej sali posiedzeń lwowskiej Rady powiatowej zebrali się wszyscy prawie członkowie Rady, o ile na to zezwoliła utrudniona z powodu zawiei śnieżnych komunikacya.

Ekscelencya Abrahamowicz zajął honorowe miejsce, a imieniem wydziału Rady powiatowej pożegnał go, jako ustępującego prezesa, p. Baczewski, dając wyraz szczeremu żalowi, jaki odczuwa powiat z powodu rezygnacyi tak szczerego i wielce zasłużonego opiekuna tego powiatu. Jako skromną pamiątkę wręczył mu przy tej sposobności adres, składający się z dziewięciu kartonów, na których umieszczony jest hołd dziękczynny oraz fotografie



Nowe prezydyum lwowskiej rady powiatowej: Waleryan Krzeczunowicz, nowy zast. prezesa rady powiatowej lwowskiej.

członków wydziału Rady powiatowej i winiety pędzla artysty-malarza p. Rybkowskiego.

Adres ten złożony jest w ozdobnej kasetce, wykonanej w lwowskiej szkole przemysłowej z drzewa mahoniowego i palisandrowego a okutej srebrem.

Na przemówienie prezesa Baczewskiego odpowiedział minister Abrahamowicz, poczem żegnali go jeszcze ks. Bilinkiewicz, proboszcz ze Zniesienia po rusku, poseł Merunowicz — jako sekretarz Rady powiatowej — imieniem urzędników, poczem na zakończenie przemówił jeszcze raz minister Abrahamowicz, dziękując za tyle dowodów uczucia i przywiązania.

Rządy powiatu lwowskiego przeszły obecnie w ręce nowego marszałka, p. Leop. Baczewskiego, jednego z najwybitniejszych przemysłowców lwowskich i wiceprezesa Izby handlowo-przemysłowej. Powołanie przemysłowca na tego rodzaju godność, należy dotąd w naszym kraju do rzadkości, przeważnie bowiem marszałkami powiatów bywali dotąd i są jeszcze właściciele ziemscy. To też fakt ten jest także dowodem, że nowy prezes rady, p. Leopold Baczewski zdobył sobie działalnością swą dotychczasową na innych stanowiskach powszechne uznanie, poważanie i zaufanie. Pochodzi on ze starej mieszczańskiej rodziny lwowskiej, w której ręku od wielu lat jest znana w całym kraju fabryka wódek.

Obok niego stoi na czele powiatu, jako wicemarszałek p. Waleryan Krzeczunowicz, właściciel dóbr ziemskich, obywatel cieszący się dużą sympatyą i popularnością.

Z okazyi zmian, zaszłych w prezydyum lwowskiej rady powiatowej, zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety: nowego marszałka p. Leopolda Baczewskiego i zastępcy marszałka, p. Waleryana Krzeczunowicza, oraz zdjęcie fotograficzne grupy członków wydziału rady powiatowej, z ministrem JE. Dawidem Abrahamowiczem pośrodku.



Nowe prezydyum lwowskiej rady powiatowej: Członkowie wydziału lwowskiej rady powiatowej, z JE. Dawidem Abrahamowiczem pośrodku.

Nowy władca księstwa sasko-altenburskiego.

Z powodu śmierci ks. Ernesta sasko-altenburskiego, rządy nad tem księstewkiem objął jedyny syn brata zmarłego władcy, ks. Maurycego, ks.



Nowy władca księstwa sasko-altenburskiego: Książe Ernest II.

Ernest II. Liczy on obecnie 37 lat. Po ukończeniu szkół średnich i uniwersyteckich w Jenie, Lozannie, Genewie i Heidelbergu, wstąpił w szeregi armii niemieckiej. Studya wojskowe uzupełnił w szkole wojennej w Kassel. Do zaokrąglenia wykształcenia młodego księcia przyczyniła się niemało jego podróż po wszystkich prawie państwach Europy.

Przed 10 laty ożenił się książę Ernest z ks. Adelaidą Schaumburg-Lippe, z którą poznał się w Dessau i ku której zapałał gorącem uczuciem miłości. Związek ten został pobłogosławiony czworgiem dzieci.

Obejmując tron księstwa sasko-altenburskiego, ks. Ernest ma za sobą duże doświadczenie wojskowe, którego nabrał w czasie służby w armii niemieckiej, oraz szerokie, ogólne wykształcenie, zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych. Wśród niezbyt licznych poddanych cieszy się wielką sympatyą.

Po 25 latach.

W latach 80-tych ubiegłego wieku dużą a zasłużoną sławą cieszyła się w Warszawie pensya sióstr Gleinich. Cieszyła się też bardzo znaczną frekwencyą, uczenice zaś i wychowanice tej pensyi wynosiły z zakładu nietylko gruntowne wykształcenie ale i zdrowe poglądy na świat, piękne zasady, oraz szczere i głębokie uczucia patryotyczne.

Pensya sióstr Gleinich została przed 25 laty, za rządów inspektora szkół miasta Warszawy Kryłowa, zamkniętą w drodze administracyjnej, a pensyonarki wydalone. Z powodu przypadającej w tym roku 25 rocznicy tego smutnego końca zakładu, wychowanice jego urządziły z inicyatywy redaktorowej Sikorskiej w sobotę ubiegłego tygodnia zjazd koleżeński. Przybyło około 20 byłych uczenic ostatniego kursu, a jak silne były węzły koleżeństwa, łączące uczenice zakładu sióstr Gleinich, dowodzi choćby ta okoliczność, iż wiele z nich podjęło tylko w celu uczestnictwa w zjeździe i widzenia się z dawnemi koleżankami długą i męczącą podróż z odległych stron, w których obecnie jako mężatki stale przebywają.

Miłą pamiątką dla uczestniczek zjazdu koleżeńskiego będzie wspólna fotografia, której reprodukcyę zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Król hiszpański na polowaniu.

Z powodu przybycia księcia Artura Connaught, siostrzeńca króla Edwarda VII, w odwiedziny do królewskiej pary hiszpańskiej, na dworze madryckim odbył się cały szereg przyjęć i rozrywek, wśród których pierwsze miejsce zajęły polowania. Za teren popisów myśliwskich służyła słynna miejscowość pod Madrytem, el Pardo, w której wśród ogromnych lasów znajduje się historyczny zamek myśliwski.

Do polowań tych, którym z taką namiętnością oddaje się książe Connaught, zawołany sportsmen, znany powszechnie ze swych wypraw na polowania do Afryki i Indyi, myśliwi ubierają się w specyalny strój wieśniaków andaluskich „zahones",



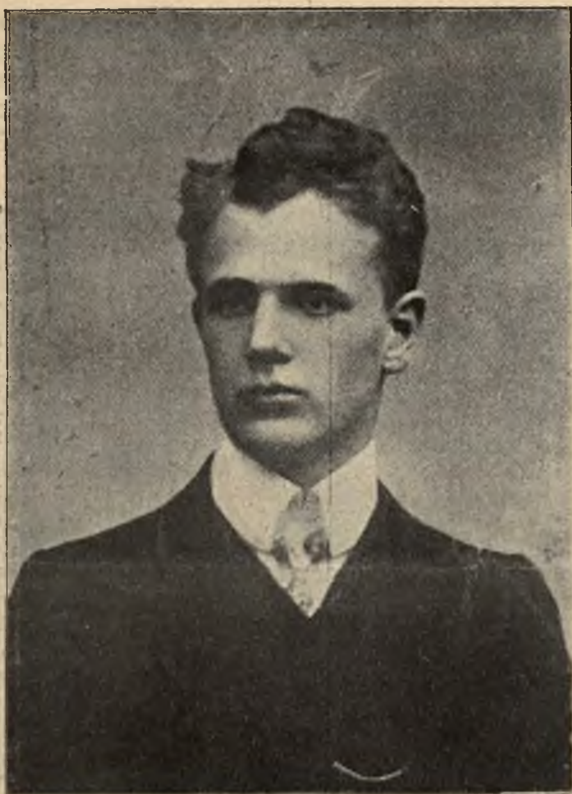
Nowy władca księstwa sasko-altenburskiego: Księżna Adelaida z najmłodszem dzieckiem na ręku.

którego główną część stanowi dolne ubranie ze skóry, lub też z niezmiernie grubej materyi, wyrabianej w tamtejszych stronach. Według starodawnej mody hiszpańskiej, ubrania te są wzorzyście wyszywane, szlachta zaś nosi na nich wyhaftowane herby. Dla angielskiego gościa sporządzono specyalne takie „zahones", w których właśnie przedstawiony jest na naszej rycinie.



Fot. »Świteź«, Warszawa.

Po 25 latach: Uczestniczki zjazdu koleżeńskiego b. uczenic pensyi sióstr Gleinich w Warszawie. W środku inicyatorka, redaktorowa Sikorska.



Slub skazańca w cytadeli warszawskiej: Stanisław Łukasik. (Do artykułu na str. 10).

Pieszo przez Europę.

Znanych ze swej ekscentryczności Anglików, którzy z zamiłowania do wszelkiego rodzaju zakładów wynaleźli totalizatora, zdystansował obecnie niezwykłością zakładu pewien czeski sportsmen, Filip Brodsky. Początkowo poświęcił się on karyerze artystycznej i obdarzony pięknym głosem barytonowym zbierał laury na scenach, wkrótce jednak oddał się sportowi, który mu obecnie już większą przyniósł sławę, niż sztuka.



Slub skazańca w cytadeli warszawskiej: Marya z Borkowskich Łukasikowa. (Do artykułu na str. 10).

W świecie sportowym zasłynął po raz pierwszy jako cyklista, wygrał bowiem znaczny zakład za przejazd na kole z Pragi do Paryża. Zdobył następnie wszechświatowy rekord przez zrobienie pieszo pięciu tysięcy kilometrów na przestrzeni między Ołomuńcem a Neapolem, w przeciągu dni ośmdziesiąt jeden.

Ostatnio założył się p. Brodsky z towarzystwem sportowem w Genewie o dwadzieścia tysięcy franków, iż w ciągu dwóch lat obejdzie całą Europę, czyli zrobi pieszo w tym czasie trzydzieści tysięcy kilometrów. Zwiedzić ma Czechy, Niemcy, Szwajcaryę, Francyę, Belgię, Danię, Szwecyę, Szkocyę, Anglię, Hiszpanię, Portugalię, Włochy, Riwierę, Istryę, Dalmacyę, Hercogowinę, Bośnię, Kroacyę, Węgry, Austryę, Śląsk, Morawy, Galicyę i Rosyę, zarabiając wszędzie na utrzymanie wyłącznie śpiewem i korespondencyami. Początkowo do zakładu tego stanęło jeszcze dwóch sportsmenów, którzy



Pieszo przez Europę: Filip Brodsky.

jednak nie mogli przetrzymać trudów podróży i zawrócili z drogi. Obecnie więc znajduje się w podróży sam Brodsky.

Wyruszył w drogę 21 września r. z. z Wambergu w Czechach i przeszedł już całe Niemcy, Francyę, Belgię i Holandyę, teraz zaś udaje się do Lwowa, skąd przez Podwołoczyska podąży do Rosyi. Jako dowód przebytej drogi zbiera p. Brodsky w swej książeczce podróżnej poświadczenia gminne tych miejscowości, przez które przechodził.

W ubiegłą niedzielę bawił p. Brodsky w Krakowie i odwiedził naszą redakcyę. Przy tej sposobności został przez naszego fotografa redakcyjnego W. Lisa odfotografowany. Reprodukcyę tego zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Król hiszpański na polowaniu Ks. Connaught i król hiszpański Alfons XIII (obaj w kaszkietach) w otoczeniu świty, oglądają ubitą zwierzynę.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

14

— A ładna?

— Nie wiem... nie patrzałem... ot, ujdzie sobie.

— Już mnie nie oszukuj, tobie byle spódnica, a oczy wypatrujesz... więc ładna? młoda? świeża?

— Tak... dosyć.

— No, to już napewno ma protektora, bo niedarmo mówią o kolejarzach, że każdy ma dwie żony... ale nasza stacya, to nie dom zajezdny. Nie zniosę tego i zaraz powiem, przy pierwszem spotkaniu z inspektorem Lerche.

Cierpliwość naczelnika wyczerpała się a przewidywanie nastąpić mających scen rozjątrzyło go, to też rzekł gniewnie:

— A mów, nie mów! Daj mi spokój, muszę pracować.

— Tak przemawiaj do służby, nie do mnie. Rozumiesz? — zawołała zaczerwieniona. Z takim gburem nie myślę rozmawiać... już ja się wywiem o wszystkiem, a wtedy pogadamy ze sobą.

Poszła dumna i obrażona, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Naczelnik patrzał zły to na drzwi, to na papier rozłożony, wreszcie rzucił piórem o stół i rzekł półgłosem:

— Dyabli nadali tę kasyerkę... to tak zawsze z babami!

Wyszedł na peron i z miejsca zwymyślał posługaczy za śmiecie, niedopałki, portyera za rozsiadanie się na ławce i szedł dalej, szukając sposobności, ażeby na kimś wywrzeć swój gniew.

Widząc służbę, przesuwającą wagony na torze, patrzał przez chwilę, wreszcie krzyknął tubalnym głosem:

— Hej, wy tam, opryszki! Dlaczego „szybujecie“ na „geleize zwei?“ A bodaj was ubito!

— Pan asystent kazał.

Na hałas i głos naczelnika wybiegł z biura asystent pełniący służbę, w czerwonej czapce. Do niego zwrócił się naczelnik:

— Co to znaczy to „szybowanie?“ Czy nie wie pan, że „geleize zwei“ musi być „bahnfrei“, ja mam uczyć pana?

— Panie naczelniku „personka“ ma „verspatung“, więc pozwoliłem, ale zaraz każę „zabremzować“.

— „Bremzować!“ „Bremzować!“ — drwił naczelnik — a pewnie „odblokowali wajchy“ i nieszczęście gotowe.

— Zaraz zobaczę.

— Czekaj pan... idź pan do telefonu i zapytaj o „personkę“ na „vorstacyi“ o „verspätung“.

— Dobrze — zwrócił się do biura swego.

— Czekaj pan... czyje to graty na torze? Dlaczego pan pozwala na urządzenie tu składu żydowskiej starzyzny?

— To panie naczelniku rzeczy nowej kasyerki... zaraz każę zabrać.

— Zaraz... zaraz — kpił naczelnik — już powinno być uprzątnięte. Hej! Dwójka i ty drugi— zawołał na posługaczy — zabrać mi to i... zanieść do kasyerki... A, dyabli ją tu przynieśli.

— Panie naczelniku — odezwał się nieśmiało urzędnik — czy mam iść do telefonu?

— Czy ja będę uczył pana służby? — krzyknął zaczerwieniony — albo pan ją zna, albo nie!

— Już idę — rzekł i szybko się oddalił.

Naczelnik po rozmowie ze żoną już się trochę wysapał, krzyk i wymyślania zrobiły mu ulgę. Zajrzał do restauracyi, skrzyczał garsona śpiącego w kącie i wszedł w długi kurytarz, gdzie w końcu była kasa biletów jazdy. Widok kasy przypomniał mu Trawecką, otworzył drzwi do niewielkiego pokoju, oświetlonego jednem oknem zakratowanem, z widokiem na peron. Tu pracowało trzech urzędników: kasyer osobowy, kasyer pakunków w pociągach osobowych i pisarz. Mimo otwartego okna panował tu zaduch ciasnego, wilgotnego biura i dym z tytoniu.

Naczelnik stanął w drzwiach, a spojrzawszy surowo na podwładnych, narzekał:

— Taki u was smród, brud, aż ciemno od dymu... Kazać wywietrzyć i pozamiatać... Panie Flegem — zwrócił się do kasyera osobowego — przyjechała kasyerka, pan nauczysz ją manipulacyi z biletami.

— Czyż ona nie umie? — uśmiechnął się Flegem, młody, zgarbiony brunet z rysami semickimi.

— Spytaj się pan dyrekcyi... powiedziałem nauczyć i basta.

— Ależ jutro mam wyjechać na nową posadę, panie naczelniku.

— Wyjedziesz pan później, przecież nie będę sam sprzedawał biletów! Rozumiesz pan?

— Rozumiem, ale ja?

— Żadne ale — zawołał surowo — po nauce jedź pan sobie, gdzie chcesz.

Powiedziawszy to, wyszedł zamykając drzwi z trzaskiem. Następnie zwiedził miejsce postoju furmanek przed dworcem. Był to placyk wybrukowany nierówno, zaśmiecony sianem, sieczką, zmiętymi papierami, a silna woń amoniaku wydobywała się z pomiędzy kamieni.

W tej chwili posługacze nieśli rzeczy Traweckiej. Naczelnik widząc ubogie sprzęty, wzruszył ramionami mówiąc:

— Miała też co przywozić — i spojrzał na kamienicę dwupiętrową, szarą, koszarową, stojącą za drogą w pobliżu dworca.

Patrzał w okna na drugiem piętrze, gdzie było mieszkanie Traweckiej. Po krótkiej chwili wychyliła się z okna Janina. Na jej faliste blond włosy padły promienie słoneczne i pozłociły je tak, że zdawało się, iż aureola świetlana otacza jej piękną i zarózowioną twarz.

— Ładna bestyjka! — cmoknął ustami naczelnik — ale co mi ten Lerche narobił — westchnął głęboko — będę miał krzyż pański, byle jakoś wytrzymać — odwrócił się chmurny i poszedł do swego biura.

Gdy Janina zażądała klucza od portyera, ten zaczął ją nietylko bardzo uprzejmie, ale i pokornie przepraszać, że niema klucza przy sobie, ale zostawił go u żony, która kończyła sprzątać mieszkanie i zawsze gotowa jest do usług.

— Dziękuję, poradzę sobie sama — powiedziała przyjaźnie, ujęta jego uprzedzającą grzecznością.

— Ale gdzież znów? — oburzył się — przecież pani potrzebuje usługi — i zwracając się do posługacza, zawołał: — Łukaszu, zaprowadźcie panią do mieszkania, drzwi numer 10, u mojej jest klucz — a do Janiny zwrócił się z usprawiedliwieniem:

— Bardzo przepraszam panią kasyerkę, że sam nie idę, ale służba mi nie pozwala.

Idąc za posługaczem rozmyślała, jaki ten portyer usłużny i przyjemny, jaki on inny od portyera i woźnych w dyrekcyi, którzy każde polecenie wypełniali jak z łaski. Prawda, że mam też inne tu stanowisko, jestem kasyerką etatową, a nie manipulantką.

Spojrzała na szarą, dwupiętrową kamienicę, zbudowaną jak liche koszary, a wobec pól uprawnych, lśniących szmaragdem, wobec lasu szpilkowego, skąd zalatywał zapach żywiczny, kamienica ta wąska a wysoka robiła smutne wrażenie.

Posługacz w brudnym, wąskim, długim kurytarzu parterowym przystanął, oznajmiając, że idzie po klucz do pani portyerowej.

Po chwili wyszła z dalszych drzwi dość otyła, niemłoda kobieta, w kaftaniku i spódnicy perkalowej, z twarzą czerwoną, połyskującą i trzymając klucz w ręku, zawołała:

— Sama otworzę paniusi... dzień dobry... posprzątałam a jakże... podłogę wyszorowałam — i szła pospiesznie po brudnych, stromych schodach, mówiąc: — będzie pani miała elegancki pokój... pan inspektor wyrzucił magazyniera, aby pani miała ładne mieszkanie.

— A gdzież mieszka teraz magazynier? — spytała Janina.

— Obok naszej kamienicy... w tym parterowym domu... ma stancyę i kuchnię... mieszkanie mniejsze, ale trudno, pan inspektor sam kazał, to już niema co mówić.

Na drugiem piętrze był znów kurytarz wąski i długi, jasno oświetlony, na który wychodziły okna kuchenne poszczególnych mieszkań. Na kurytarzu panowała mieszanina zapachów kuchennych, przepalone tłuszcze, zbiegłe mleko, jakieś zapachy cebul, jarzyn, kartofli, i zabawiało się w nim dużo małych i jak zwykle krzykliwych dzieci.

Z otwartych okien i drzwi wychyliły się na odgłos kroków i rozmowy różne głowy niewieście, a niektóre kobiety wyszły na kurytarz, ażeby widzieć nową lokatorkę.

Przed drzwiami, naznaczonemi nr. 10, stanęła żona portyera, a otwierając rzekła:

— Tu jest kuchnia, pusta, bo przecież pani kasyerka nie będzie się stołowała w domu — wskazała na przyćmioną izbę z oknem wychodzącem na kurytarz — a dalej jest pokój pani — otworzyła drzwi i struga jasnego światła z pokoju padła w ciemnawą kuchnię.

Weszły do pokoju, obszernego, czystego, świeżo pobielonego, a mimo otwartych dwóch okien czuć było świeże wapno i wilgoć szorowanej podłogi.

Na prawo było łóżko wygodne, z materacem sprężynowym, dwa krzesła obite zieloną materyą, dwa czerwoną. Stolik okrągły przed kozetką, w rogu umywalnia z lustrem zawieszonem nad nią, a niedaleko okna stolik w rodzaju biurka, na którym prócz bukietu z kwiatów sezonowych, stał kałamarz, pióra, bibuła. Szafa niewielka i komoda uzupełniały umeblowanie.

— Prawdziwy salon — uśmiechnęła się z dumą portyerowa — to ja tak urządziłam, bo dawniej bywałam w mieście i widywałam, jak to państwo mieszkają... Sam pan inspektor pochwalił mieszkanie, a za te kwiaty osobno zapłacił... Cóż, podoba się pani?

Janina rozejrzała się wokoło. Czysty i jasny pokój zrobił na niej miłe wrażenie. Z okien widziała tor dworca i las świerkowy, rozciągający się w głąb poza torem. Było tu ładnie, zacisznie i czuły się szczęśliwą, gdyby nie te ciągłe wzmianki o inspektorze. Każdy sprzęt, każda drobnostka mówiła do niej: to on zrobił dla ciebie, on umeblował, on dał kwiaty, on uprzedził naczelnika, portyera i jego żonę. I ta troskliwość stawała się jej przykrą, upokarzającą.

Na razie nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tem, gdyż posługacz złożył pakunki ręczne i szybko je rozwiązywał, a portyerowa z narzucającą się uprzejmością poczęła rozpakowywać rzeczy...

Janinę ogarnęła mimowolna obawa i rodzaj wstydu, że ci ludzie zobaczą jej znoszone suknie, fartuszki, pocerowane staniki, połataną bieliznę.

— Dziękuję, sama to zrobię — odsunęła portyerową — ja wiem, gdzie i jak ułożyć. Dziękuję pani za jej dobroć, ale wolę sama — zasłoniła sobą pakunki ręczne — proszę mi przynieść kosz i meble.

— Jeśli taka wola pani — powiedziała portyerowa tonem obrażonym, ale przypomniawszy sobie inspektora spokorniała i dodała: — gdyby pani kasyerka czegoś potrzebowała, proszę mnie zawołać.

— Dziękuję pani, sądzę, że sama poradzę.

Po ich wyjściu wzięła się gorączkowo do porządkowania rzeczy. Bieliznę ułożyła w komodzie, suknie powiesiła w szafie, a zmęczona wrażeniami i ruchem podeszła do okna. Wychyliła się i dojrzała posługaczy, niosących jej kosz i meble, a pod stacyą w cieniu stał naczelnik.

Cofnęła się i podeszła ku drzwiom, aby wskazać posługaczom, gdzie mają złożyć rzeczy. Wobec umeblowania pokojowego, nietyle gustownego, jak lśniącego i dość jaskrawego osądziła, że kosz i meble przywiezione będą wyglądały marnie i ubogo, postanowiła tedy umieścić je w ciemnawej kuchni.

Wniesiono rzeczy i posługacze z wielką wprawą rozwiązali kosz, ustawili skromne meble.

— Czy może pomódz pani kasyerce w rozpakowaniu? — spytał uprzejmie jeden z nich.

— Dziękuję, sama zrobię — i sięgnęła do kieszeni po portmonetkę.

Ruch ten zauważył jeden z posługaczy i rzekł z uśmiechem:

— U nas od swoich nie bierze się, a cóż dopiero od pani.

— Odemnie? — spytała zdziwiona.

— Ano tak — i po chwili namysłu dodał: — co pan naczelnik każe, to święte. Więc nie pomódz pani?

— Nie, dziękuję.

Gdy wyjmowała pościel, książki i inne rzeczy, rozmyślała z pewną przyjemnością, że ją tak uprzejmie witają, przyjmują, narzucają się nawet z usługami. Co to jednak znaczy kasyerka, pomyślała nie bez uczucia zadowolonej ambicyi, to zupełnie co innego aniżeli manipulantka. W tem przypomniała sobie urzędnika dyżurującego Chrustowskiego, który witając uprzejmie, przy pożegnaniu był tak chłodny. Nic mu przecież nie zawiniła, przeszła w pamięci najdrobniejsze szczegóły spotkania, a jednak... może zresztą jej się tylko zdawało?... może był tak zajęty?

Do pokoju wniosła pościel i układała na łóżku. Posprzątawszy jako tako, usiadła, ażeby odpocząć. Krzesło było miękkie i wygodne. Spojrzała na zegarek, było już pół do dwunastej i przypomniała sobie, że prócz trochę kawy, wypitej pospiesznie rano

przed odjazdem, nie miała nic w ustach. Spojrzała na swe zapasy przygotowane przez matkę, na bułki ze szynką, ze serem, ale uczuła niesmak do zimnego jedzenia. Przeliczyła posiadaną gotówkę, miała jeszcze dwadzieścia koron, a do pierwszego, do poboru pensyi było dziesięć dni. Postanowiła pójść do restauracyi kolejowej, tam zjeść kawałek mięsa, ażeby nabrać sił do przyjęcia kasy kolejowej. Poprawiła suknię na sobie, przyczesała włosy i z pewnem zadowoleniem zamknęła drzwi „swego“ mieszkania, chowając „swój“ klucz do kieszeni.

W sali restauracyjnej drugiej klasy, obszernej, jasno oświetlonej sześcioma oknami, z licznymi stołami nakrytymi białymi obrusami, było dość pusto. Kilku panów, oczekujących na przyjście pociągu, stało przy bufecie, pijąc wódkę, wybierając przekąski. W głębi sali przy bocznym stoliku siedzieli urzędnicy, dwóch z poczty, dwóch z kolei, widoczni po mundurach.

Gdy weszła Janina, wszyscy mężczyźni z ciekawością spojrzeli na nią. Niepewna rozejrzała się po sali, spostrzegła oczy skierowane na nią, co ją lekko zmieszało, przystanęła na chwilę, a potem dość szybko podeszła do ustronnego stolika, pomiędzy drzwiami wejściowemi z peronu, a stołem urzędniczym. Usiadła, a widząc garsona zajętego gośćmi przy bufecie, czekała nieśmiejąc zadzwonić. Miała słuch doskonały, więc nie uszły jej uwagi szepty mężczyzn. Nie usłyszała wprawdzie swego nazwiska, ale tytuł kasyerki doszedł do jej uszu.

Wreszcie garson, uporawszy się z gośćmi, podszedł do niej i spytał uprzejmie:

— Co pani kasyerka rozkaże?

— Chciałabym zjeść... co jest gotowego?

Garson wymienił kilka potraw, a zarazem oznajmił, że obiad będzie gotów za dziesięć minut...

— Może pani zechce poczekać na obiad, a tymczasem przyniosę gazetę jaką.

Skinęła głową i wziąwszy gazetę do ręki, udała zagłębioną w czytanie.

Nagle drzwi otworzyły się, podniosła oczy i spotkała się ze wzrokiem Stańskiego. Szybko spuściła oczy zarumieniona wbrew woli, gdyż przypomniała sobie ostatnie spotkanie, rozejście się bez podania ręki z powodu jego podejrzeń.

Pierwszym odruchem Stańskiego była chęć przesłania jej ukłonu, lecz widząc jej oczy utkwione w gazetę, przeszedł miarowo obok jej stolika i usiadł przy stole urzędniczym.

Janina z goryczą i żalem rozmyślała o lekkomyślnie rzuconem na nią podejrzeniu, i ile ona wycierpiała z tego powodu. Nieznacznie spojrzała w stronę urzędników, którzy prowadzili wesołą rozmowę.

Po chwili przyniósł garson zamówioną przez Janinę potrawę. Odłożyła gazetę i zaczęła jeść.

Znów otworzyły się drzwi i wszedł Chrustowski. Zobaczył Janinę, w przechodzie skłonił się lekko, a z urzędnikami witał się wesoło i usiadł przy Stańskim, któremu coś szeptał do ucha z uśmiechem na swej szczerej, rozbawionej twarzy.

Widząc ich zażyłość, zrozumiała Janina dopiero teraz ową zmianę, zaszłą w sposobie obejścia Chrustowskiego. Więc to był dalszy ciąg tych samych podejrzeń o zdradę przed inspektorem Lerche. Nagle do tego jedzenia, które przed chwilą wydało się jej tak dobrem, poczuła dziwny niesmak. Z trudnością przełknęła, i patrząc na wesołe grono, pomyślała: teraz wy tryumfujecie i mnie wydrwiwacie, ale przyjdzie czas, że pożałujecie tego gorzko.

Była to wprawdzie pociecha, ale nie wróciła jej ani dobrego humoru, ani apetytu.

Przez salę przeszedł naczelnik, któremu skłonili się podwładni urzędnicy, a on obaczywszy Janinę, mimo niedawnej sceny ze żoną podszedł do jej stolika i spytał z uśmiechem dobrodusznym:

— Jakże mieszkanie? Podobało się pani? Meble ładne?

— Dziękuję panu naczelnikowi, pokój przyjemny, a meble za ładne jak dla kasyerki.

— Hm... tak chciał inspektor — a widząc garsona przynoszącego drugą potrawę, pożegnał ją skinieniem głowy mruknąwszy: — dobrego apetytu, a nie zapomnij pani o kasie.

— Wiem panie naczelniku.

Garson przyniósł jej kurczę smażone z kompotem. Niechętnie wzięła się do jedzenia i mimowolnie nasłuchiwała rozmowy przy stole urzędników.

— Nie wiecie, czy kasyer frachtowy zostanie na miejscu? — spytał jeden z pocztowych urzędników.

— To zależy od protekcyi — odpowiedział Chrustowski, spojrzawszy drwiąco w stronę Janiny — jeśli znajdzie w dyrekcyi jakiegoś inspektora, to zostanie.

Inni zaśmieli się głośno, a ktoś dodał:

— Gdyby chociaż przysyłali wyćwiczonych, praktycznych urzędników z tej dyrekcyi, ale o to nie dbają wcale... a tu musimy się męczyć i trzeba za dwóch robić.

Janina poczerwieniała, to było zbyt przejrzyste, że do niej pito, ale postanowiła nie ustąpić, ażeby jej nie posądzono, że przed przytykami ucieka. Jednak mimowolnie zaczęła jeść prędzej i rozmyślnie nie słuchała rozmawiających.

Wreszcie skończyło się męczące jedzenie, zadzwoniła prosząc o rachunek.

— W tej chwili — zawołał garson podchodząc, a widząc ją przygotowującą pieniądze według cennika rzekł: — pani kasyerka płaci inne ceny... pani przysługuje „regime“.

— Cóż to znaczy?

— Ceny kolejowych urzędników — uśmiechnął się z jej niewiadomości.

Zapłaciła rachunek, dała dość znaczny napiwek, otrzymawszy w zamian bardzo głęboki ukłon. Nie patrząc w stronę Stańskiego i urzędników wyszła. Zaczerwieniona z oburzenia szła pospiesznie do swego mieszkania, przyrzekając sobie w duszy, że póki nie wyjaśni się sprawa zdrady, nie pójdzie do restauracyi, będzie unikała każdego z urzędników. Unikała? ale w jaki sposób? Przecież musi iść do kasy, na służbę. Czemuż nie została nadal manipulantką przy dyrekcyi kolejowej? Ileż przykrości byłaby uniknęła.

Weszła do swego pokoju, miała jeszcze pół godziny czasu, zanim rozpocznie praktyczne ćwiczenie w kasie. Usiadła przy oknie i patrzyła na las szpilkowy, pełen świeżości i świergotu ptactwa. Słyszała nawoływania kukułki, trelowanie skowronka, śpiewy ptasząt dobywające się z gęstwy zielonej. Ten widok ukoił trochę jej żal i już z pewną rezygnacyą myślała o praktyce kasowej.

Weszła do dusznej kasy, w której pracowało zawsze trzech urzędników, a mianowicie: kasyer osobowy do wydawania biletów, kasyer pakunkowy do przyjmowania nadanych kufrów, koszów itd., wreszcie pisarz, szczupły, chudy, łysawy człowiek, w ubraniu wyszarzanem, który zda się, że zrósł się ze swem krzesłem, bo rzadko kiedy wstawał, a tylko pilnie nasłuchiwał cyfr, wysokości wagi i nazwiska stacyi.

— Dzień dobry panom.

Na jej głos świeży i melodyjny wszyscy trzej mężczyźni odwrócili głowy i dopiero po chwili odmruknęli coś w rodzaju odpowiedzi.

Kasyer osobowy z uśmiechem zalecającym się przedstawił się i rzekł:

— Zaraz ja wszystko koleżance pokażę i nauczę, ale dopiero po odejściu „personki“, a teraz proszę patrzeć, jak się sprzedaje bilety... może pani usiąść, ale proszę uważać na mnie.

To mówiąc odsunął brudne, żółtawe firanki z okna kasowego, a widząc cisnący się tłum robotników i chłopów, zawołał ostro:

— Tu nie jest karczma! Czego wy się pchacie?!... Po kolei, a każdy niech trzyma pieniądze! Słyszycie!?

Następnie zwrócił się do stojącej za nim Janiny i powiedział zwykłym tonem:

— Z tą hołotą nie można inaczej — wzruszył ramionami — tu zdrowie można stracić. Ja nie wiem, czy pani wytrzyma? Co?

Nie czekając odpowiedzi zwrócił się do stojącego przed okienkiem:

— Dokąd?... Prędzej!... Idź od okna, kiedy nie wiesz. Słyszysz? Czego chcesz?

— Prosiłbym pana kasyera o bilet — tu wymienił stacyę kolejową.

— Było zaraz odpowiadać, a ten stoi z rozdziawioną gębą... Należy się — powiedział kwotę, równocześnie wyjął ze szafki bilet, ostemplował z wielkim hałasem, a tymczasem kupujący obliczał pieniądze.

Kasyer spojrzał i zawołał groźno, trzymając bilet w ręku:

— Brakuje dwóch halerzy... Chcesz mnie oszukać, czy co?

— Zaraz dam — mruknął kupujący.

— O, znam ja was dobrze — zaśmiał się głośno — byle oszukać, ale ja mądry.

Krzycząc, wymyślając, drwiąc dawał bilety, ale natychmiast się uspokajał i przybierał minę grzeczną, gdy przed okienkiem stawał ktoś lepiej ubrany.

Podobny hałas, tylko znacznie mniejszy, panował przy okienku kasyera pakunkowego.

Tam ważący wykrzykiwał wysokość wagi i miejsce przeznaczenia, a kasyer obliczał i powtarzał usłyszane słowa pisarzowi, gotującemu kwity.

Gwar i niepokój w małym, kasowym pokoju trwał, a zwiększały go kłótnie i poszczególne okrzyki cisnących się do okienka.

Zostawało jeszcze z dziesięciu kupujących, którzy z obawy przed odejściem pociągu parli się do kasy. Jakiś młody, dość licho ubrany robotnik zażądał biletu i dał kasyerowi papierową monetę dziesięciokoronową. Kasyer odruchowo włożył monetę w przedziałkę, a w tej chwili bocznemi drzwiami wszedł znajomy kasyera i zażądał biletu.

Widocznie kasyer chciał być usłużnym, więc szybko ostemplował bilet i podał znajomemu, a robotnik czekał przy okienku.

— Czego chcesz? Dokąd? — zawołał kasyer.

— Robotnik wymienił stacyę.

— Dawaj pieniądze.

— Dałem już... dziesięć koron.

— Ty? kiedy?... Oszust z ciebie, ruszaj!

— Ależ dałem — zaczął się przysięgać gorąco.



Drzwi otworzyła żona portyera, niemłoda kobieta w kaftaniku i spodnicy perkalowej, z pękiem kluczy w ręku.

(Ciąg dalszy nastąpi.

Arystokracya pracy.

Amerykanie są mistrzami w sposobach, którymi wywołują entuzyazm w pracy, z jakim się jej oddają. W służbie amerykańskich instytucyi nie znają



Arystokracya pracy: Henryk Pelczarski, sekretarz galic. filii »New-York« we Lwowie.

„automatycznych awansów“, każdy bowiem jest sklasyfikowany na podstawie swej produkcyi i ta tylko decyduje o jego dochodach. To też rodzi przedsiębiorczość i współzawodnictwo.

Pod względem organizacyi słyną z niej amerykańskie instytucye ubezpieczeń, między niemi największa z nich „New York“, mająca swe filie we wszystkich cywilizowanych krajach świata. „New-York“ w ciągu 64 lat swego istnienia stał się prawdziwym kolosem finansowym a to dzięki swemu międzynarodowemu charakterowi i znakomitej organizacyi. O rozmiarach tej instytucyi świadczą najlepiej cyfry, wyjęte ze sprawozdania za r. 1907. W ciągu roku minionego wystawiło tow. „New-York“ 60.000 polic życiowych, na łączny kapitał blisko 670 milionów kor., wypłaciło w formie pożyczek 79.000 osobom kwotę ponad 134 mil. kor., zaś rodzinom zmarłych 8.000 osób ponad 108 mil. kor. — nadto prawie 118 mil. kor. osobom, które dożyły płatności swych polic. Majątek tow. wynosi dziś blisko $2^1/_2$ miliarda kor., zaś dywidenda, przyznana członkom na rok 1908, wynosi mimo niepamiętnie ciężkiego przesilenia ponad 30 mil. kor.

Organizacyą w Europie kieruje Centrala w Paryżu; spoczywa ona w ręku Amerykanów, którzy — jak wiadomo — przed 3 laty założyli we Lwowie filię dla Galicyi. Urzędnicy bez względu na rangę, oraz współpracownicy departamentów europejskich, a liczba ich dochodzi kilku tysięcy, biorą na podstawie swej rocznej produkcyi — tak się nazywa zjednywanie nowych ubezpieczających się — udział w konkursie o członkostwo „Klubu 200.000 dolarów“. Na rok bieżący członkostwo klubu zdobył pierwszy dotychczas z Polaków, Lwowianin p. Henryk Pelczarski, sekretarz filii galicyjskiej, który wśród 168 „wielkich europejskich producentów“ uzyskał 18 te miejsce. Odznakę klubu stanowi złoty medal, zaś corocznie odbywają się na koszt instytucyi świetne zjazdy tych „arystokratów pracy“. Prezydentem tow. „New-York“ jest obecnie Darwin P. Kingsley, zaś kierownikiem filii galicyjskiej Warszawianin p. Okołowicz, redaktor „Przeglądu emigracyjnego“.

Walki w Marokku.

Afera marokkańska, w którą przeszło pół roku temu zawikłała się Francya, z biegiem czasu gmatwała się coraz bardziej, tak iż obecnie przedstawia już trudności prawie nie do pokonania. Pogróżka „wojny świętej“, jaką rzuciło Marokko Francyi, zaczyna zamieniać się w czyn od chwili zdetronizowania Abdul Azisa, który ostatecznie popadł w obłąkanie, i od chwili wyniesienia na tron sułtański Mulej Hafida.



Walki w Marokku: Sztab generała d'Amade, obserwujący ruchy wojska francuskiego w czasie jednej z walk.

Nowy sułtan, zdecydowany prowadzić zaciętą walkę przeciw Francuzom, począł z wielkiemi masami swych wojsk napadać na oddziały francuskie i atakować je ze wszystkich stron. Dla tem łatwiejszego dopięcia celu, Mulej Hafid zbuntował szczepy, mieszkające w pobliżu posiadłości francuskich; szczepy te wkroczyły w granice Algieru, a głównodowodzący gen. d'Amade musiał odkomen-



Walki w Marokku: Kolumna wojska francuskiego w przechodzie przez rzekę Nelfifigh.

derować kilka oddziałów na ich odparcie, przez co siły jego bardzo się uszczupliły.

Rząd francuski zaś wcale się nie spieszy z przysłaniem mu posiłków, a co gorsza, politycy w Paryżu co dzień prawie posyłają gen. d'Amade nowe instrukcye, zakreślając mu nawet na mapie granice, których wojsko francuskie nie może przekroczyć. Z takiego położenia rzeczy korzystają Marokkańczycy i wojują nietylko orężem ale i podstępem. W walkach tych Francuzi ponoszą znaczne szkody, chociaż ostatecznie odnoszą zwycięstwa i zajmują rozmaite nowe miejscowości.



Walki w Marokku: Ekspedycya wielkiego działa dla armii francuskiej, operującej w Marokku.

O teatr poznański.

Po dwunastoletniej ciężkiej, żmudnej, pełnej odpowiedzialności pracy na stanowisku dyrektora polskiego teatru w Poznaniu, ustępuje z końcem bieżącego sezonu zasłużony dyrektor Edmund Rygier. W najbliższym już czasie ma nastąpić powołanie na jego miejsce nowego kierownika sceny poznańskiej, a że scena ta jest ważną bardzo placówką kultury polskiej, przeto społeczeństwo całe z wielkiem zainteresowaniem oczekuje rozstrzygnięcia toczącej się obecnie walki o jej kierownictwo.

Wszyscy pragną, aby scena poznańska dostała się w ręce kandydata najgodniejszego, najbardziej odpowiedzialnego pod każdym względem, w ręce człowieka, któryby miał nietylko wybitne zdolności reżyserskie i aktorskie, ale dużą przedsiębiorczość i pomysłowość, a przedewszystkiem należyte zrozumienie misyi narodowej, jaką teatr poznański, z uwzględnieniem oczywiście ciężkich warunków miejscowych, spełniać powinien i może.



O teatr poznański: Władysław Paliński, artysta »Rozmaitości« w Warszawie.

Dotychczas pojawiły się w prasie nazwiska następujących kandydatów: Czesława Janowskiego, dyr. teatru w Łodzi, Andrzeja Lelewicza, reżysera operetki we Lwowie, Wł. Palińskiego, artysty teatru „Rozmaitości“ w Warszawie, Maksymiliana Węgrzyna, art. dram. sceny krakowskiej i Romana Żelazowskiego, reżysera w teatrze lwowskim.

Najpoważniej przedstawia się w tej liście i najwięcej około swego nazwiska kupi sympatyi kandydatura p. Romana Żelazowskiego. Nazwisko jego, jednego z najwybitniejszych polskich artystów dramatycznych współczesnych, znane jest powszechnie, znane też są jego zasługi na scenach krakowskiej, warszawskiej i lwowskiej, a także poznańskiej, na której właśnie zawód swój rozpoczął.



O teatr poznański: Edmund Rygier, ustępujący dyrektor teatru w Poznaniu.

Ale i inni kandydaci przedstawiają się bardzo poważnie, a nazwiska ich i dotychczasowa działalność dają rękojmię, iż scena poznańska pod ich kierunkiem mogłaby się dalej rozwijać. P. Władysław Paliński, długoletni artysta teatru „Rozmaitości“ w Warszawie, stąd też dobrze obeznany ze sceną i jej potrzebami, nadto autor kilku utworów scenicznych, zajmuje wśród nich poczestne miejsce. Toż samo powiedzieć należy o następnym kandydacie, p. Maksymilianie Węgrzynie, obecnie artyście dramatycznym teatru krakowskiego i reżyserze. Prócz Krakowa, zna go Lwów, jako artystę rutynowanego i sumiennego, zna go i Warszawa z gościnnych występów.

Bardzo sympatyczną jest także kandydatura p. Czesława Janowskiego, dyrektora teatru w Łodzi. Aktor, reżyser i organizator nadzwyczaj dzielny i energiczny, jako kierownik scen stałych oraz wędrownych, doświadczony i rutynowany. Piąty— i ostatni poważny — kandydat, to p. Andrzej Lelewicz, reżyser operetki w teatrze lwowskim i artysta w tym kierunku szczególną cieszący się sławą. Mimo, iż dotychczas pracował prawie wyłącznie w operetce, na zadania teatru poznańskiego i rolę dramatu w nim patrzy bardzo poważnie i zapewnia, że operetka i opera zajęłaby tam pod jego rządami szary koniec. Doświadczenia ma dużo, cechuje go wielka pracowitość i sumienność.



O teatr poznański: Roman Żelazowski, artysta i reżyser sceny lwowskiej.

Echa królobójstwa.

Wypadki w Portugalii, które przed kilkunastu jeszcze dniami stanowiły jedyny niemal przedmiot rozmów, zwolna przechodzą w niepamięć. Od czasu do czasu tylko dolatują z wzburzonego kraju głuche wieści, to o nowych wybuchach rewolucyi, to znowu o uspakajaniu ich przez nowego króla drogą ułaskawień i znoszenia surowych wyroków dyktatora Franki.

Przypomnieniem lizbońskiej tragedyi był też uroczysty pogrzeb zamordowanego króla i następcy tronu. Odbył się on w zeszłą sobotę, czyli w ośm dni po zamachu. Jak zwykle w takich wypadkach roztoczono niezwykłą wspaniałość, imponującą bogactwem i blaskiem.



O teatr poznański: Andrzej Lelewicz, reżyser operetki we Lwowie.

Już w piątek wieczorem rozpoczęły się ceremonie pogrzebowe, przeniesiono mianowicie przy świetle pochodni zwłoki ofiar z pokoi pałacowych do niewielkiej skromnej kaplicy, którą na przyjęcie królewskich zwłok udekorowano z niezwykłym



O teatr poznański: Maksymilian Węgrzyn, art. dramatyczny w Krakowie.

przepychem. Obie trumny, zaopatrzone szklanemi wiekami, złożono na niskich katafalkach, okrytych królewskimi sztandarami. Straż honorową pełnili dniem i nocą najwyżsi dygnitarze państwowi, jenerałowie armii i marynarki, duchowieństwo zaś w czarnych kapach, zmieniając się co kwandrans, śpiewało psalmy żałobne. Przez większą część dnia znajdowali się w żałobnej kaplicy na balkonie królewskim młody władca Portugalii, król Manuel II., królowa Marya Pia i królowa Amalia, jako też książe Oporto.

Wyniesienie zwłok na wieczny spoczynek odbyło się w sobotę według dawnego ceremoniału, który w całej swej pełni zachowuje się jeszcze na dworach hiszpańskim i portugalskim. Bicie w bębny, pokryte krepą, zwiastowało mieszkańcom Lizbony tę smutną chwilę. Przed kaplicę zajechały trzy dworskie rydwany żałobne, każdy zaprzężony w ośm koni, pokrytych do samej ziemi czarnemi oponami. Pierwszy wóz, „resjuardo“ czyli honorowy lub zapasowy, był — jak przepisuje etykieta—próżny, za nim dopiero toczył się wóz ze zwłokami następcy tronu i trzeci z trumną królewską. Za rydwanami giermkowie w średniowiecznych szatach prowadzili wierzchowce zmarłego księcia i króla, a dalej jechały wspaniałe dworskie powozy galowe. Przez trzy godziny posuwał się ten pochód przez miasto, zanim przybył wreszcie przed wrota lizbońskiej katedry św. Wincentego.

Po wystawieniu zwłok przed katedrą, dopuszczono do nich całe masy publiczności, które tutaj po raz ostatni żegnały się ze swym monarchą i jego pierworodnym synem. Następnie wielki marszałek dworu, hr. Sabugosa wezwał w uroczystej formie dziekana katedry do rozpoznania zwłok, poczem wręczył mu dwa srebrne klucze od trumien. Po wniesieniu zwłok do świątyni i odprawieniu nabożeństwa żałobnego, złożono zwłoki w podziemiach katedry, zwanych „Panteonem“, gdzie znajdują się szczątki poprzednich monarchów i książąt panującego rodu portugalskiego.



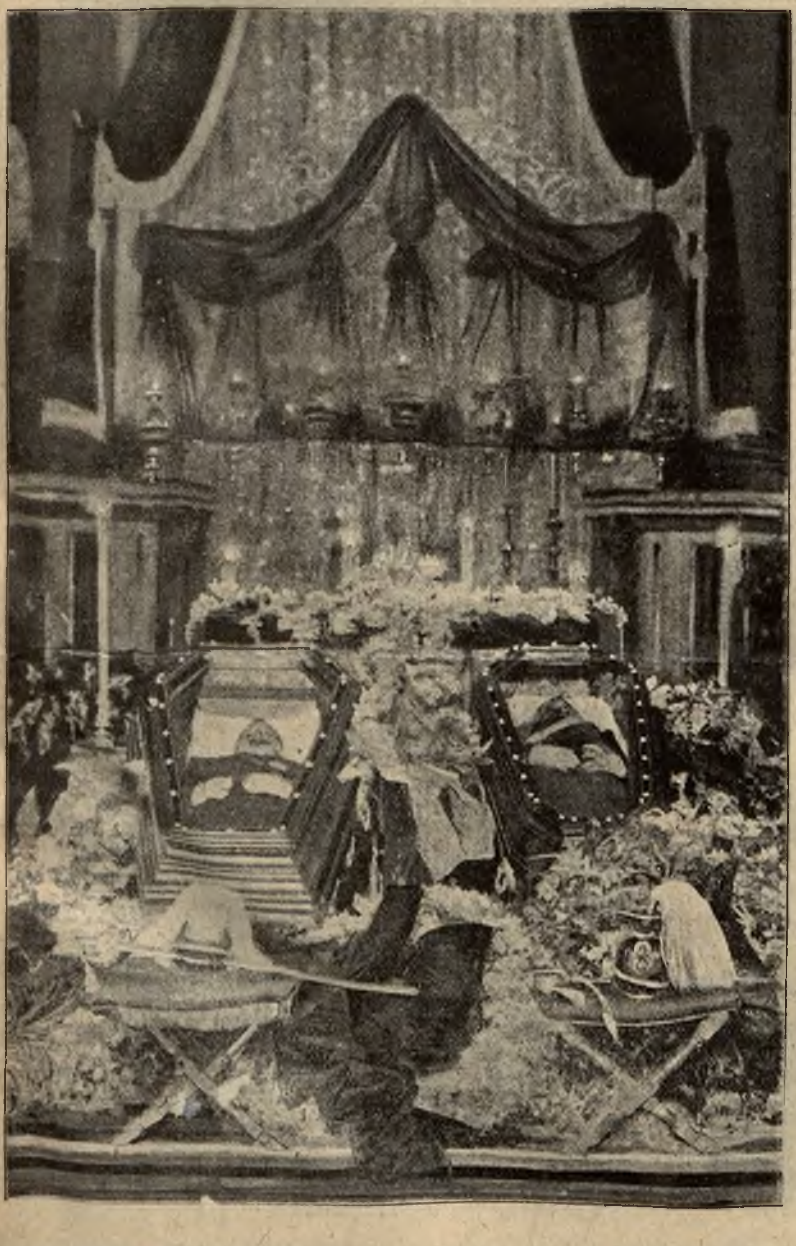
Echa królobójstwa: Rydwan żałobny ze zwłokami króla.

Król Manuel II. udał się po pogrzebie do prześlicznego zamku Cintra, aby tam odpocząć po strasznych przejściach i nabrać sił do ciężkich dni rządów.

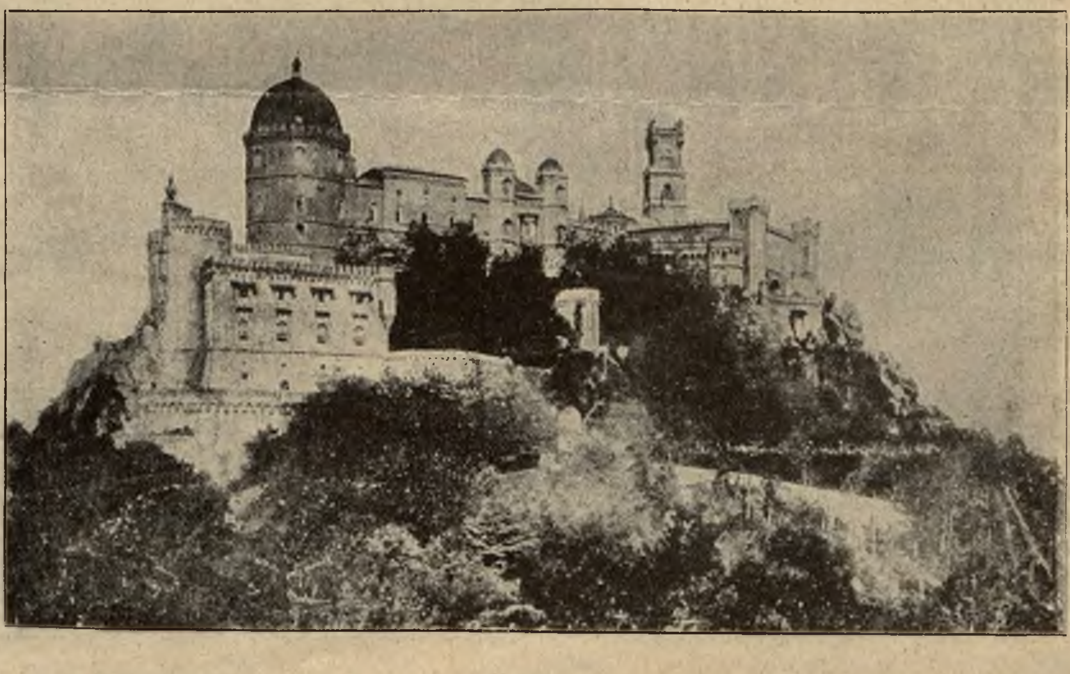
Skon zacnego Rusina.

W dzisiejszych czasach niesłychanego rozwydrzenia radykalizmu ruskiego, ziejącego nienawiścią do wszystkiego co polskie, strata człowieka zrównoważonego politycznie, gorącego patroty ruskiego, a jednak przyjaźnie dla narodu polskiego usposobionego, jest stratą ciężką, bolesną i niełatwą do powetowania. A taką właśnie stratę poniosło społeczeństwo ruskie przez skon śp. Anatola Wachnianina, emerytowanego profesora historyi w ruskiem gimnazyum we Lwowie i jednego z najwybitniejszych muzyków i kompozytorów ruskich w Galicyi.

Nie w dziedzinie pedagogii jednak lub muzyki leżą główne zasługi zmarłego przed kilku dniami



Echa królobójstwa: Zwłoki Karola I. i następcy tronu w kaplicy zamkowej.



Echa królobójstwa: Zamek królów portugalskich w Cintra, chwilowa rezydencya króla Manuela II.

męża. Zasługi te położył on przedewszystkiem na polu politycznem, jako długoletni poseł do sejmu krajowego i do rady państwa. W działalności zaś jego politycznej wytyczną była dążność do pokojowego, przyjaźnego i kulturalnego współżycia z narodem polskim, dążność dzisiejszym politykom i prowodyrom ruskim wprost nieznana. Świadom jej wagi jako dziejowej konieczności, stosował do niej całą swą politykę i wiernym jej pozostał do ostatnich dni życia. A kiedy ów, przez niego i profesora Barwińskiego stale popierany, kierunek stał się wśród niedojrzałego politycznie ogółu ruskiego niepopularnym, nawet znienawidzonym, kiedy na arenę życia publicznego wystąpili z pośród ruskiego społeczeństwa apostołowie nienawiści, w rodzaju Budzynowskich, Petryckich i t. p., i podnieśli hasło bezwzględnego szowinizmu, śp. Wachnianin nie czuł się na siłach, aby nowy kierunek zwalczyć, usunął się tedy z życia politycznego i ostatnie lata swego pracowitego życia poświęcił ulubionej muzyce.

Dziś, kiedy mogiła tego zacnego Rusina świeżą jeszcze pokryta ziemią, stwierdzić należy, że swą układnością, pojednawczością i kulturalnością zdziałał on dla sprawy ruskiej więcej, niż wszyscy dzisiejsi prowodyrzy awanturami w parlamencie i czczemi pogróżkami. Ocenią to zapewne i sami Ukraincy, ale chyba wtenczas, gdy dojrzą o tyle pod względem politycznym, iż w szowinizmie i żywiołowej nienawiści nie będą widzieli dowodu patryotyzmu.



Echa królobójstwa: Starodawne karoce dworskie w pochodzie żałobnym.

Ślub skazańca w cytadeli warszawskiej.

Głośna sprawa „Zmowy robotniczej" czyli szajki bandyckiej, rozpatrywana w tych dniach przez sąd wojenny warszawski, nie przestaje zwracać na siebie uwagi. W sprawie tej — jak wiadomo — oskarżonych było 22 bandytów, którzy w ciągu kilku miesięcy dokonali w Warszawie całego szeregu najzuchwalszych napadów. Z liczby tej sąd wojenny 13 skazał na śmierć przez powieszenie, pozostałych zaś bądź na karę więzienia zasądził, bądź dla braku dowodów uniewinnił.

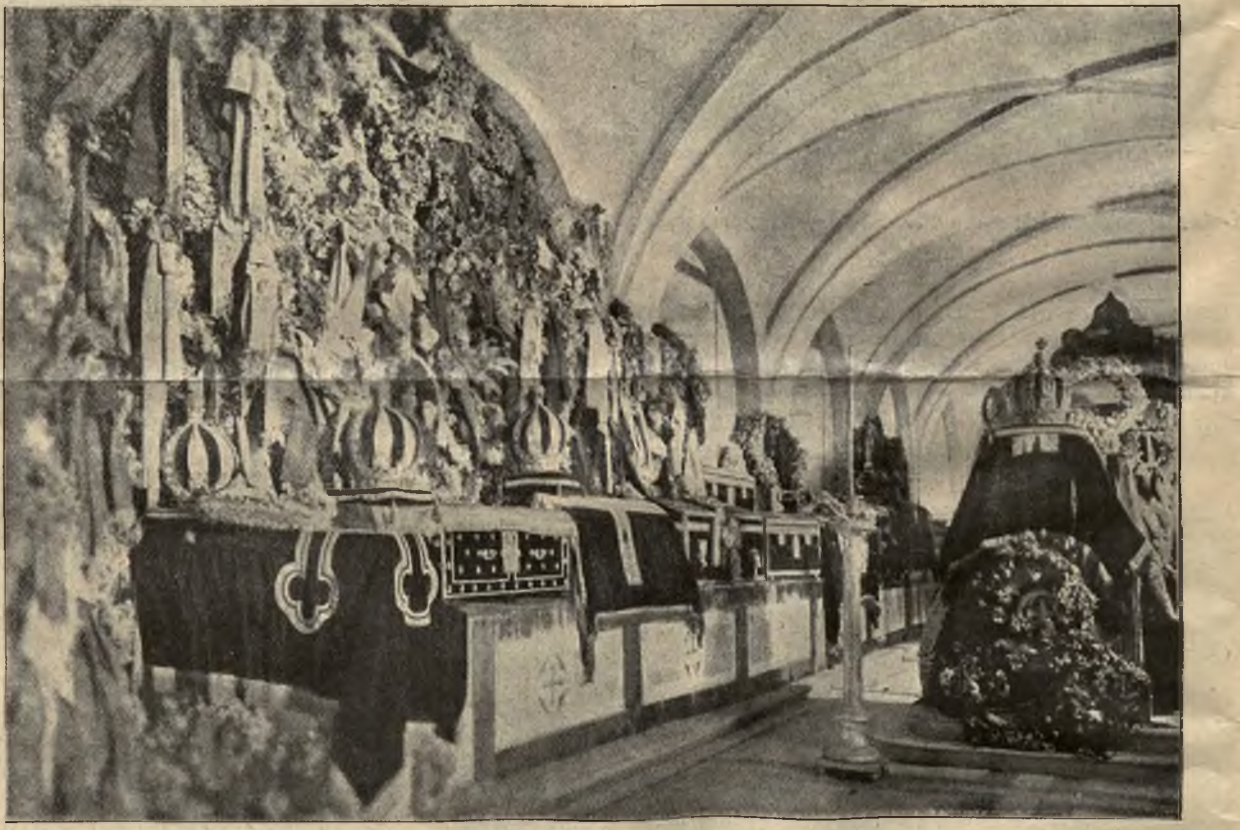
Wśród skazanych na śmierć znajdował się również młody bandyta, 21-letni Stanisław Łukasik. Przewidując swój tragiczny koniec, Łukasik w przeddzień rozpraw sądowych prosił o pozwolenie zaślubienia narzeczonej swej, Maryi Borkowskiej; dzięki staraniom obrońcy Łukasika, adw. przys. Makowskiego, pozwolenie władz świeckich i duchownych, ze względu na wyjątkowe okoliczności, niebawem uzyskano i kapelan forteczny połączył węzłem małżeńskim młodą parę.

Nazajutrz zapadł wyrok, skazujący nowożeńca na szubienicę. O rozpaczy, jaka ogarnęła nowożeńców — wobec perspektywy rychłej rozłąki na zawsze — pisać chyba zbyteczna.

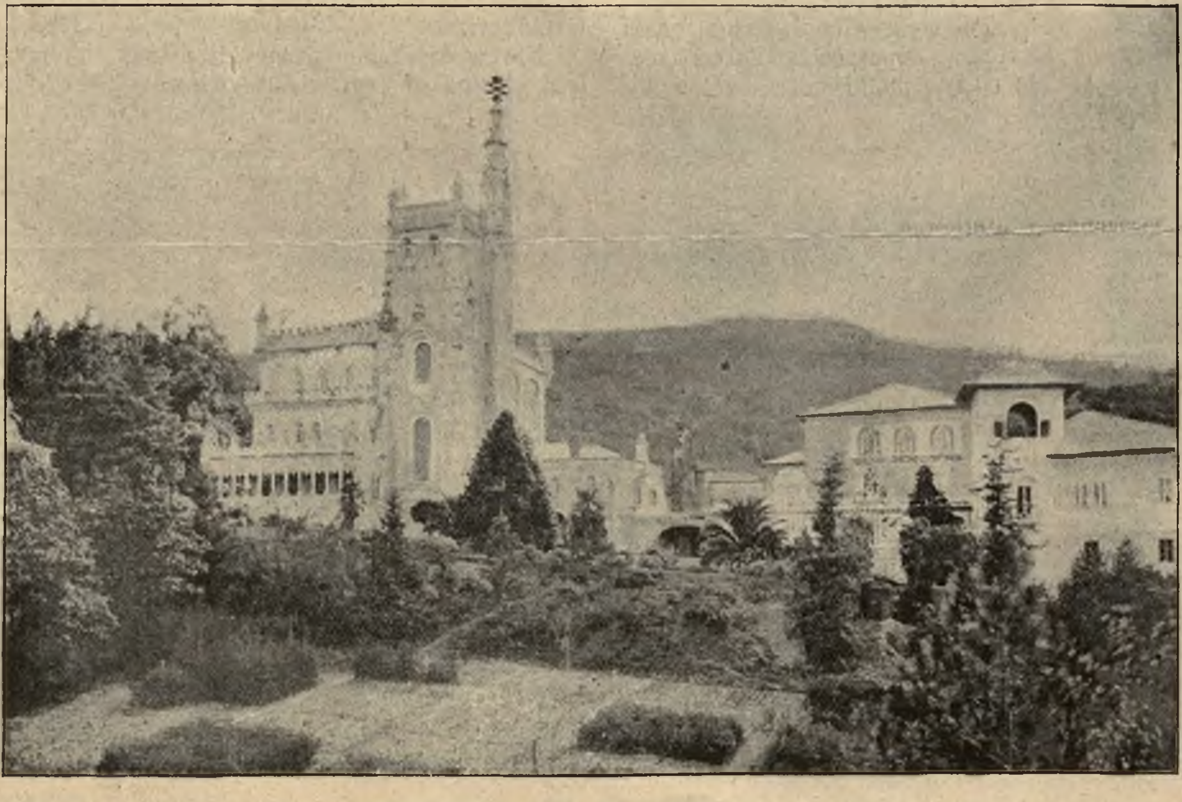
Ale zakochanymi opiekuje się Opatrzność — jak mówi przysłowie. Opiekowała się widocznie i Łukasikiem, który pospołu z pięciu jeszcze swymi towarzyszami, współoskarżonymi, został ułaskawiony, a karę śmierci zamieniono mu na 20 lat ciężkich robót.

* * *

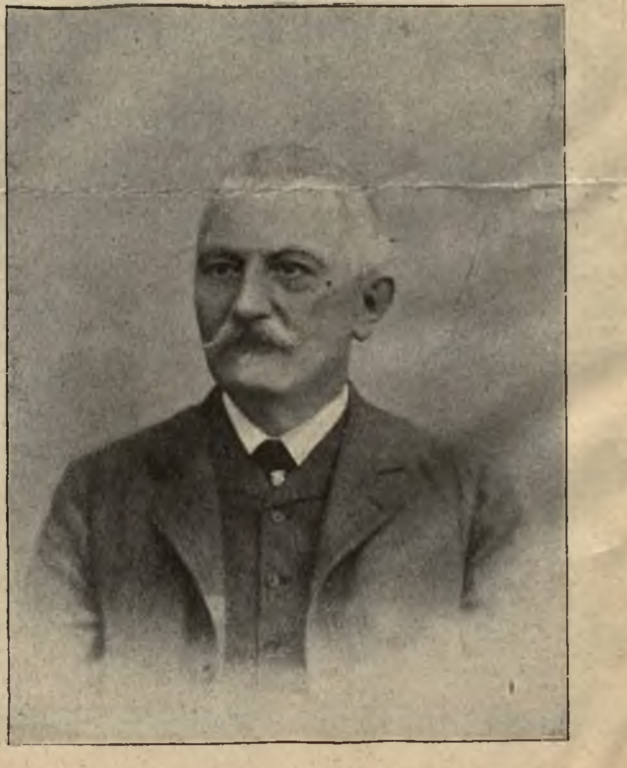
Ze względu na ten rzadki i niezwykły wypadek, zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety: zasądzonego na karę śmierci a następnie ułaskawionego Stanisława Łukasika i jego żony, Maryi z Borkowskich.



Echa królobójstwa: Groby królewskie w Panteonie, pod katedrą lizbońską.



Echa królobójstwa: Pałac królów portugalskich w Bussaco.



Skon zacnego Rusina: Ś. p. Anatol Wachnianin.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

11 (Ciąg dalszy).

Wolfgang osłupiał i struchlał. Był pewien, że Rivallier śmiertelnie się obrazi, więc obawiał się, żeby nie wynikły z tego następstwa, dotkliwe dla chorego Dossenaua. Ponowne ogarnęło go zdumienie, gdy hrabia bez najmniejszego uczucia urazy, odezwał się niemal ze słodyczą:

— A, panie baronie, to było małe nieporozumienie. Ja udzieliłem panu tylko rady, a nie pełnomocnictwa, więc nie mogę w żaden sposób korzystać z pańskiej propozycyi. Natomiast chcę skorzystać w inny sposób z pańskiej uprzejmości. Jestto dawny przesąd, że wygrywa się najłatwiej pożyczonemi pieniędzmi. Bardzo mi się dziś nie powiodło i dużo przegrałem. Jestem pewien, że pożyczone przyjazną ręką tysiąc franków, dadzą mi wygraną. Jeżeli to panu dogadza, proszę o pożyczkę tysiąca franków, a jeżeli przegram, nie będę już dzisiaj próbował szczęścia.

— Bardzo proszę rozporządzać moją gotowością do przysługi.

To rzekłszy, podał hrabiemu banknot tysiącfrankowy, a Rivallier pochwycił go z gorączkowym pośpiechem, co wcale nie licowało z jego dobrem wychowaniem. Wziąwszy pieniądze zbliżył się do stołu, i nie zważał już wcale na towarzyszy. Dossenau i Wolfgang usunęli się na kilka kroków. Będąc pewnym, że go tu nikt nie usłyszy, odezwał się Dossenau cicho:

— Coś się tam popsuło w państwie króla kolejowego, bo ten Rivallier nie zachowuje się jak prawdziwy szlachcic, mający poczucie godności i dobrze wychowany, ale jak zgrany szuler.

— Ale czyż to możebne, żeby mu nawet tysiąca franków brakowało?

— Wszystkie te miliony Mühldorfera opierały się na piasku i nie wątpię, że je wichura jakaś wraz z piaskiem rozwiała. Rivallier się oszukał, polując na nie, a Mühldorfer zawiódł się pewnie na spodziewanych protekcyach zięcia.

Wolfgang przypomniał sobie teraz list Ellinory, w którym donosiła mu o doznanych nieszczęściach. Ellinory nie kochał, miał do niej urazę, ale bądźcobądź nie zapomniał jeszcze namiętnych uniesień, których doznał w jej płomiennych uściskach, więc uczuł teraz niepokój o nią i litość.

Odezwał się też z ożywieniem, nie mogąc utaić zaniepokojenia:

— Ależ to niemożliwe, żeby Mühldorfer wszystko stracił i pozostawił córkę jedynaczkę, na łasce zgrywającego się szulera, bez żadnego zaopatrzenia.

Dossenau spojrzał z ukosa na Wolfganga, bo mu się to gorzko zainteresowanie córką Mühldorfera nie bardzo podobało, to też odezwał się z naciskiem:

— Ta zepsuta, a dumna kobieta, nie zasługuje na współczucie. To lalka, bez serca, bez poczucia godności kobiecej.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie zbliżył się do nich Rivallier i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Tym razem i przesąd nie dopisał, pańskie tysiąc franków przegrałem i już dam sobie dziś pokój, nie postawię ani grosza. Mój dług tysiąca franków chciałbym zwrócić baronowi jaknajprędzej, dlatego proszę o łaskawe podanie mi swojego adresu w Nizzy.

Dossenau podał adres, Rivallier podziękował, wyjął prędko bilet wizytowy, skreślił na nim słów kilka, wsunął go w kowertę i zaadresował ołówkiem. Ten bilet chciał włożyć do kieszeni, ale jakoś wypuścił go z ręki, tak że upadł na posadzkę, Wolfgangowi pod nogi. Wolfgang spostrzega, podnosi i mimowoli, jednym rzutem oka, zwracając bilet hrabiemu, ogarnia adres: „Madame Ellinor de Rivallier, villa Nofair Condamine".

Opuścili kasyno wszyscy trzej i znaleźli się w ogrodzie. Rozmowa jakoś się przerwała na chwilę. Dossenau pragnął pozbyć się towarzystwa hrabiego i już zabierał się do pożegnania, gdy Rivallier odezwał się z gorączkową żywością:

— Może panowie pozwolicie, abyśmy razem spędzili kilka godzin. Niezmiernie miło mi, żeśmy się spotkali. W hotelu paryskim można zjeść znakomity obiad i napić się wybornego szampana. Jest tam gabinecik, bardzo elegancki a wygodny, gdzie z całą swobodą można się zabawić. Ponieważ ja tutaj dawniej jestem od panów, a przytem na granicy mojej ojczyzny, przeto na mnie spada obowiązek podjąć rolę gospodarza. Wyświadczycie mi panowie prawdziwą przyjemność, a nawet przysługę, bo w towarzystwie panów zapomnę o dzisiejszem niepowodzeniu.

Dossenau stanowczo odmówił, tłómacząc się tem, że jako rekonwalescent musi jaknajwięcej używać świeżego powietrza, więc pragnie posiedzieć w parku, zanim odjedzie do Nizzy. Odjechać też musi wcześniej, bo nie koleją tylko powozem przyjechał.

— Prawdziwie żałuję. Skoro już panowie nie pozwalacie się uprosić, nie mogę być dłużej natrętnym. Tysiąc franków prawdopodobnie dziś jeszcze otrzyma pan, pod swoim adresem w Nizzy. Gdybyśmy się już nie spotkali, przyjmijcie panowie serdeczne pożegnanie odemnie i wspomnijcie sobie kiedyś tego, który w waszych oczach popełnił dwie niedorzeczności: jedną w Walramsegg, a drugą dzisiaj — pożyczając tysiąc franków na przegranie. Zapewniam panów, że dzisiejsza niedorzeczność była ostatnią w mem życiu.

Wszystko to mówił gorączkowo, w roztargnieniu, wyciągnął rękę na pożegnanie, uścisnął dłoń Dossenaua i Wolfganga silnie i serdecznie i odszedł prędko.

Wolfgangowi spadł kamień z serca. Towarzystwo hrabiego było dlań tak niemiłe, że musiał wytężać wszystkie siły, aby się opanować i tego nie okazywać. Przypomniały mu się te niedobre przeczucia, jakie go w Nizzy ogarnęły, gdy do Monte Carlo wyjeżdżać mieli.

— Cóż myślisz o tym człowieku? — rzekł Dossenau. Widzę, że to nietylko zgrany szuler, ale już pełen rozpaczy, nad przepaścią stojący człowiek.

Wolfgang nic nie odpowiedział, smutny był i zamyślony. Znowu mu przed oczyma stanęła Ellinor i żal go zdjął wielki, że przykuta do takiego człowieka, będzie miała życie złamane. Nie kochał jej, ale też zapomnieć nie mógł. I nic dziwnego. Uniesienia, doznane w uścisku Ellinory, były pierwszemi w życiu Wolfganga, a takich porywów młodzieńczych nie łatwo zapomnieć, choćby i myśl i serce zwróciły się ku innej osobie, choćby się najsilniejszą miłość i najtrwalszą piastowało dla innej. Przytem Wolfgang miał szlachetne serce, do współczucia i litości skłonne, więc gdyby Ellinor nawet zupełnie nieznaną mu była, byłby powziął współczucie dla kobiety, mającej takiego męża, jakim był hrabia de Rivallier. Zamyślony, smutny, ponury, nie widział nic dokoła siebie, nie pociągała go wspaniałość parku, nie zajmowało wykwintne towarzystwo, przechadzające się po nim.

Widział to Dossenau, zachmurzył się i rzekł opryskliwie:

— Nadal będę się już liczył cośkolwiek z pańskiemi przeczuciami. Miałeś pan słuszność, lękając się dzisiejszej wycieczki do Monte Carlo. Byłoby lepiej dla Heleny, gdybyśmy tu byli nie przyjeżdżali. No, wracajmy do domu.

Musieli przejść koło hotelu paryskiego, więc zwrócili się w tę stronę. Już byli blisko, gdy dostrzegli niezwykły ruch przed hotelem. Kręciła się tu służba kasynowa, do hotelu wszedł prędko urzędnik policyjny, a na twarzy portyera i hotelowej służby widać było zaniepokojenie.

— Tu się coś stało — rzekł Dossenau — albo jakiegoś oszusta schwytano, albo też padło życie ludzkie ofiarą tej nieszczęsnej jaskini łotrostwa.

— Niestety, zgadłeś pan — odezwał się jakiś nieznajomy w języku niemieckim. W tej chwili zastrzelił się tu jakiś młody człowiek, wróciwszy prosto z kasyna. Był to Francuz, który w ostatnich dniach przegrał ogromne sumy.

— Hrabia de Rivallier — wyrzekli równocześnie Dossenau i Wolfgang.

W tej chwili popędził Wolfgang do hotelu.

— Gdzie są zwłoki nieszczęśliwego — zapytał Wolfgang gorączkowo portyera, ale ten ruszył ramionami z dobrze udanem zdziwieniem i odpowiedział obojętnie:

— Pan się widocznie pomylił, tu żadnych zwłok niema.

Na to nadszedł Dossenau i szepnął Wolfgangowi:

— W ten sposób niczego się nie dowiesz. Tu przyjęto zasadę, aby nie mącić wesołości i zatajać wszystko, co zbrodnią jest, lub nieszczęściem. Służba nie może niczego zdradzić pod grozą utraty miejsca. Tu trzeba w inny sposób przemawiać.

I Dossenau zbliżył się do portyera, wsunął mu nieznacznie kilka sztuk złota do ręki i rzekł cicho:

— Musimy widzieć, a to wam nic nie zaszkodzi. Owszem, nawet pomódz może.

Skutkiem tej brzęczącej rozmowy z portyerem, znaleźli się obaj na miejscu katastrofy. W pokoju hotelowym leżał na łóżku hrabia de Rivallier, z rozwartemi oczyma, z ironicznym uśmiechem, na ustach zastygłym. Na prawej skroni smuga krwi i czarna plama od rewolwerowej kuli. W skostniałej ręce trzymał jeszcze rewolwer. Na stole było jeszcze nakrycie z obiadu i dwie wypróżnione butelki szampana, a na posadzce, tuż przy łóżku, na którem leżały zwłoki, roztłuczony kieliszek. W pokoju był lekarz, który stwierdził śmierć. Było dwóch urzędników policyjnych, dwóch oficyalistów z rulety i właściciel hotelu.

— To on — rzekł ponuro Dossenau.

Słyszał to urzędnik policyjny.

— Pan go znałeś?

— Znałem.

— Nazywał się hr. de Rivallier?

— Tak panie.

— Czy krewny pański?

— Nie.

— Czy możesz pan podać jakie szczegóły?

— Żadnych, tylko zwracam uwagę, że należałoby zawiadomić o nieszczęściu żonę, mieszkającą w Condamine.

— Żonę! — zawołał jeden z oficyalistów rulety — a to prawdziwe nieszczęście! Teraz się już nie uniknie rozgłosu.

Również właściciel hotelu przeraził się, gdy to usłyszał. Jeden z urzędników policyjnych, rozpatrując się po stole, dostrzegł pod serwetą bilet w kowercie, zaadresowany ołówkiem do hrabiny de Rivallier w Condamine. Był to ten sam bilet, który Wolfgang podniósł z posadzki w sali gry.

— Trupa usunąć natychmiast — rozkazywał urzędnik policyjny — i przenieść go do hotelowej kostnicy, a żonę zawiadomi się natychmiast z urzędu.

Wolfgangowi wydało się to wszystko takie nieludzkie, takie bezlitosne, że drżał cały z oburzenia. „Żonę zawiadomi się z urzędu", wydało mu się czemś wprost barbarzyńskiem. Taką straszną wieść należałoby przynieść ze współczuciem, z delikatnością, oględnie, po ludzku, a nie szorstko, urzędownie, bez miłosierdzia dla kobiecego serca, bez względu dla wdowy w żałobie. Więc zwrócił się do Dossenaua i rzekł doń po cichu:

— Pospieszmy tam czemprędzej, aby tę nieszczęśliwą przygotować na cios, który w jej serce uderzy.

— Co? Pan masz zamiar pójść do tej kobiety? — rzekł Dossenau z gniewem.

— Ależ to jest obowiązkiem ludzkości! W takiej chwili zapomina się o wszelkich urazach.

— Zdaje mi się, że pan nie teraz dopiero zapomniałeś o wszelkich urazach, bo spostrzegam ze zdumieniem, że już od kilku godzin interesujesz się tą osobą i bardziej i więcej, niżby należało i wypadało przez wzgląd na Helenę. Czy może zaprzeczysz temu, panie doktorze?

I słowa i ton mowy uraziły Wolfganga, to też krew uderzyła mu do głowy i o mało nie wybuchnął gniewem. Ale opanował się i odpowiedział spokojnie, ale dobitnie:

— Nie pora teraz i nie miejsce po temu, abym panu na ten dotkliwy zarzut odpowiadał, natomiastośmielam się zapytać, czy pan zechce mi towarzyszyć do Condamine?

— Nie — panie. Nie chcę brać udziału w tem, co uważam za niestosowne i niewłaściwe. W imieniu pańskiej narzeczonej, której obecnie ojca zastępuję, żądam od pana stanowczo, ażebyś swojego zamiaru zaniechał. Jeżeli ci na tem zależy, aby pani de Rivallier dowiedziała się o nieszczęściu nie w drodze urzędowej, a więc zimnej i bezwzględnej, uczynię chętnie tę ofiarę i pojadę do niej, a pan tymczasem będziesz czekał na mnie na dworcu w Monte Carlo.

Ta podejrzliwość, ta nieufność Dossenaua oburzały Wolfganga. Zdawało mu się, że to jakiś zamach na jego godność osobistą, że to obelga, rzucona jego charakterowi. Żywy, nawet porywczy z usposobienia, o mało nie wybuchnął gwałtownie, ale opanował się natychmiast przez wzgląd na sędziwy wiek człowieka, który mu tyle okazał przyjaźni i życzliwości, który był takim dobroczyńcą Heleny i jej ojca. Wrodzona dobroć serca i staranne wychowanie również od wybuchu go powstrzymały. Przyjął propozycyę Dossenaua i rzekł zupełnie spokojnie:

— Najserdeczniej dziękuję, że pan tak łaskaw spełnić obowiązek miłosierdzia chrześcijańskiego.

Dossenau poszedł, podpierając się szczudłem, a Wolfgang usiadł w poczekalni dworca i czekał zrazu spokojnie, ale wnet zaczęła go ogarniać nuda, więc wyszedł przed dworzec i przechadzał się niecierpliwie. Ale i to go już nużyć zaczęło, wier

puścił się zwolna naprzeciw Dossenaua. Nie długo stanął przy pierwszej willi w Condamine i tu się zatrzymał, nie chcąc iść dalej, aby się z Dossenauem nie minąć. Była to willa mała, ale zbudowana z wdziękiem, okolona uroczą zielenią. Wyglądała tak powabnie, tak wesoło, jakby w niej tylko dla szczęścia było miejsce, jakby w niej tylko wesołe śmiechy rozbrzmiewać miały. Siadł na przydrożnej ławeczce, spoglądał na ową willę, myślał o Helenie, to znowu stanął mu przed oczyma hrabia de Rivallier z przestrzeloną skronią, to znowu żal mu było owdowiałej Ellinory. A ponad tem wszystkiem górują te smutne przeczucia, które go ogarnęły w Nizzy, gdy do Monte Carlo wyjeżdżali. A te przeczucia coraz smętniejsze. Dlaczego? Wszakże już dość tego co widział, co słyszał i na tem skończyćby się powinno. „Nieskończy" — szepnął głos nieznany, wewnątrz duszy ukryty, szepnął jakby nowe jakieś przeczucie. Wzdrygnął się Wolfgang, zerwał z ławki, chciał się przechadzać, rozruszać, w tem roztwierają się drzwi w tej powabnej willi, wychodzi z nich na szczudle oparty Dossenau, wyprowadza go kobieta, pochyla się do rąk Dossenaua, chwyta je, całuje i znika we drzwiach. Poznał ją Wolfgang, to była Ellinor.

Nie wywarła już na niego takiego wrażenia, jak niegdyś w Walramsegg i byłby może obojętnie na nią spoglądał, gdyby nie uczucie żalu i litości nad nieszczęśliwą. Podszedł naprzeciw Dossenaua, a ten zdziwił się wprawdzie, ale nie pogniewał, bo sam jakoś inaczej był usposobiony, niż w Monte Carlo. Zniknęła mu z twarzy surowość, a natomiast znać było cokolwiek rozrzewnienia. Odezwał się też spokojnie do Wolfganga:

— Ta biedna kobieta jest nieszczęśliwszą, niżeli sądziłem. Jakby w ostatnim akcie tragedyi, wszystko zwaliło się na jej głowę. Zdaje mi się, że więcej grzeszył jej ojciec, aniżeli ona.

— Więc istotnie jest nieszczęśliwą?

— Ej, gorzej niż nieszczęśliwą. Jej ojciec stracił wszystko; tron króla kolejowego runął w gruzy, a on sam znajduje się w więzieniu.

— W więzieniu! — zawołał Wolfgang. Mühldorfer w więzieniu!

— Tak mój drogi. Dowiedziałem się z ust jego córki. Tak bywa zawsze, gdy lekkomyślnie operuje się kredytem. Nagle go brakło i nagle spadła katastrofa. Stracił głowę tak, że nawet schronić się nie umiał. Uwięziono go pod zarzutem popełnionych oszustw i wyłudzeń, oderwano od łoża ciężko chorej żony, a ta biedna kobieta w dwa dni potem ze wzruszenia umarła. Majątek Mühldorfera objęto konkursem, a córkę pozostałą obrzucono obelgami, znieważono ją, napadano i dlatego wyjechała z mężem zagranicę, aby przynajmniej uniknąć zniewag i napaści.

Wolfgang był wzruszony do głębi.

— Co za straszne nieszczęście — szepnął i zapytał: — A jakże zniosła wiadomość o śmierci męża?

— Jak bohaterka! W pierwszej chwili ogarnęła ją rozpacz, ale opanowała się i okazała tyle hartu, tyle siły woli, że z podziwem na nią spoglądałem. Zdaje mi się, że to wszystko przeczuwała, bo nie było dla niej tajemnicą, że Rivallier przegrał ostatnie pieniądze, jakie jeszcze posiadali. Choćby ta kobieta kochała była swego męża, to w ostatnich czasach musiała była powziąć dla niego może nawet i pogardę W rozmowie ze mną broniła go, osłaniała, usiłowała nawet usprawiedliwiać, ale mimo tego czuć było w jej słowach, że hrabia de Rivallier niegodziwie z nią postąpił.

— I cóż to będzie? Co się stanie z tą kobietą? Może ona teraz w najstraszniejszej nędzy?

— Zdaje mi się, że nie jest pozbawioną jakiegoś znaczniejszego zapasu, bo spokojnie mówi o przyszłości. W najdelikatniejszy sposób proponowałem jej pomoc pieniężną, ale wymówiła się od niej tak stanowczo i z taką godnością, że musiałem nabrać przekonania, iż nie jest bez funduszów. Całe jej zachowanie bardzo mnie ujęło i żałuję teraz, że miałem o niej tak niekorzystne wyobrażenie. Mimo tego wszystkiego muszę ci powiedzieć, że owdowiała hrabina de Rivallier powinna dla ciebie pozostać tem samem, czem była panna Ellinor Mühldorfer po smutnej scenie w ogrodzie zimowym w zamku Walramsegg.

Wolfgang nie dopytywał się już o nic i nic nawet nie odpowiedział na ostatnią uwagę, a i Dossenau nie skory był już do mówienia. W milczeniu siedli do powozu i wracali do Nizzy. Gdy byli blisko domu, odezwał się Dossenau:

— Nie mówmy o tem Helenie.

— Czy wolno zapytać, dlaczego pan chce czynić przed nią tajemnicę?

— A po cóż dziewczynie opowiadać o takich tragedyach życia?

— Zdaje mi się, że Helena nietylko może, ale i powinna o wszystkiem wiedzieć. Przecież to umysł tak jasny, tak dojrzały, że zdoła przyjąć wiadomość o tym wypadku ze spokojem. Ja wogóle nie chciałbym żadnych mieć przed nią tajemnic i bolałoby mnie prawdziwie, gdybym coś ukrywać musiał.



W pokoju hotelowym leżał na łóżku hr. de Rivallier. W skostniałej ręce trzymał jeszcze rewolwer.

— Czyń pan sobie potem, co się panu będzie podobało, ale dopóki Helena jest pod moją opieką, to chyba ja mam prawo rozstrzygać o wszystkiem.

— Ulegam pańskiemu życzeniu, ale usuwam się od wszelkiej odpowiedzialności, jeżeliby z tego tajenia prawdy wynikły jakie nieporozumienia.

XIV.

Wolfgang miał noc niespokojną. Niemiłe, nawet odrażające wrażenia, których doznał, przypatrując się rulecie, nastroiły go dość smutno. Spotkanie z hrabią de Rivallier, upadek moralny tego człowieka i śmierć samobójcza, nasunęły Wolfgangowi tyle ponurych myśli, że mu świat wydawał się okryty jakąś czarną oponą nieszczęść. Uczucie ludzkości nasunęło mu niepokój o dolę Ellinory, a do tego obowiązek zachowania tajemnicy przed Heleną wyrządzał mu wiele przykrości. Przypomniały mu się też uwagi Dossenaua, pełne nieufności, podejrzliwości, uwagi wprost uwłaczające. To wszystko odbierało mu sen, rozdrażniało, męczyło.

Z tego chaosu myśli, wrażeń, uczuć, wyłaniało się pragnienie pospieszenia Ellinorze z pomocą, okazania jej życzliwej przyjaźni. Miłość jego dla Heleny była czysta, prawdziwa, głęboka, więc nie obawiał się wcale, aby Ellinor zdołała bodaj na chwilę tę miłość zmniejszyć, przytłumić. Rozważał dobrze, badał sam siebie i mógł sobie śmiało powiedzieć, że go do Ellinory nic innego nie pociąga, prócz obowiązku uczciwego człowieka, który chce znajomej kobiecie w nieszczęściu pomagać. Gdyby go był Dossenau nie zmusił do zachowania tajemnicy przed Heleną, byłby przed nią wyznał to wszystko, co myśli, czego pragnie, a pewien był, żeby zamiar jego pochwaliła.

Jakże pozostawić tę nieszczęśliwą kobietę, zdala od ojczyzny, wśród ludzi obcych, opuszczoną, pozostawić bez przyjacielskiej rady, bez opieki, bez funduszów? Że Dossenau proponował jej pomoc pieniężną, a ona ją odrzuciła, to jeszcze nie dowód, aby jej położenie było spokojne i bezpieczne. Może Dossenau uczynił swą propozycyę cokolwiek szorstko, a przynajmniej obcesowo i tem ją uraził? Może ma fundusze dostateczne, ale natomiast brak jej opieki, porady, jak się ochronić od napaści złych ludzi? A wreszcie jakże to będzie dla niej bolesne zająć się pogrzebem męża — samobójcy?

Nie, nie można jej tak zostawić na pastwę losu. Gdyby Helena o tem wszystkiem wiedziała, samaby niezawodnie życzyła sobie tego, abym się zaopiekował opuszczoną wdową. Tak. Pojadę! Helenie o tem powiedzieć nie mogę, a Dossenauowi nie potrzebuję. Bardzo go cenię, poważam, uczuwam nawet rodzaj synowskiego przywiązania do tego zacnego człowieka, aleć nie potrzebuję jak dzieciak prosić go o pozwolenie czynienia tego. co uważam za stosowne i godne. Wreszcie to natrętne i niedelikatne narzucanie się z opiekuńswem, ta nieufność do mnie. dają mi zupełne prawo okazania Dossenauowi, że jestem człowiekiem samodzielnym i czynię to, co mi własne przekonanie dyktuje. A więc — pojadę.

Tak myślał Wolfgang i tak postanowił. Zwykle zrana przebywał w swoim pokoju i prawie do południa pracował nad dziełem naukowem. a Dossenau z Heleną albo w parku przebywali, albo najczęściej wyjeżdżali w okolicę. Wolfgang, wstawszy z łóżka znużony, do pracy się dziś nie zabrał, tylko po śniadaniu, gdy Dossenau z Heleną na dalszą wycieczkę wyruszyli, udał się na dworzec i pojechał do Condamine. Poważny i spokojny stanął przed willą, w której Ellinor mieszkała i bez najmniejszego wzruszenia zadzwonił, podał służącej bilet, poczem natychmiast poproszono go do salonu.

Na progu powitała go Ellinora. Nie zmieniła się wcale, ta sama co w Walramsegg, tylko na jej twarzy nie było wesołego uśmiechu, tylko czarna żałobna suknia, dodawała jej powagi.

— Jak to pięknie, że pan nie zapomniałeś o mnie, kochany przyjacielu. Byłam pewną, że pańskie zacne serce okaże mi braterskie współczucie. Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

Ellinor wskazała mu fotel, usiadła we właściwej odległości i w całem jej zachowaniu było tyle taktu, tyle miary właściwej. że Wolfgang doznał prawdziwego zadowolenia. Spokojny był, że Ellinor pojmuje jego wizytę tak, jak ją pojąć była powinna.

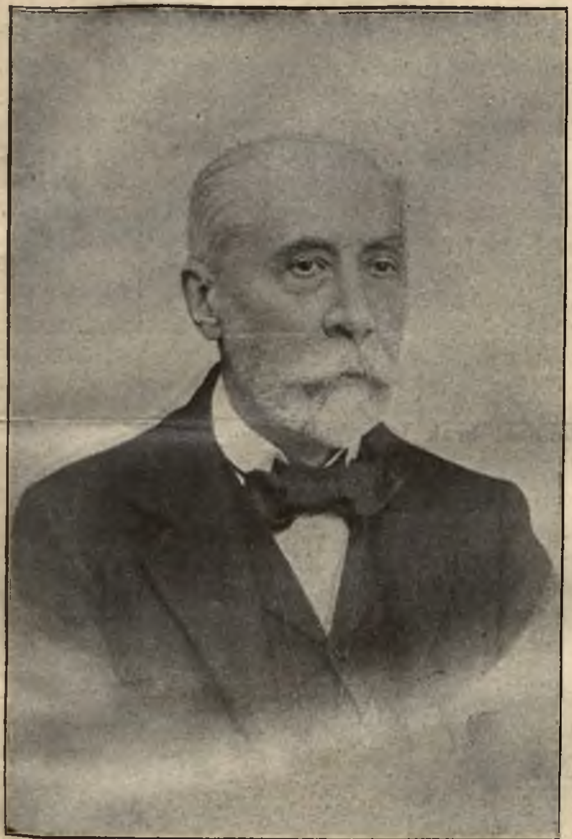
— Chcę być na usługi pani, może właśnie teraz, gdy trzeba będzie zająć się pogrzebem.

— Dziękuję bardzo, ale to sprawa już ułożona. Jeden z kuzynów mojego męża, zawiadomiony o nieszczęściu telegraficznie, przybył natychmiast i on sam zajmie się przewiezieniem zwłok do Francyi, gdzie je w grobach rodzinnych hrabiów de Rivallier pochowają. Bardzo mu jestem wdzięczna za to, bo istotnie byłabym poniekąd bezradną. Niestety nie mogę nawet wziąć udziału w pogrzebie, aby się nie narazić na pociski krewnych i przyjaciół mojego męża, którzy mi tego wybaczyć nie mogą, że zawiódł się, licząc na milionowy posag.

Mówiła zupełnie spokojnie, może nawet obojętnie, a Wolfgangowi wydało się to objawem owego heroizmu, którego się Dossenau w Ellinorze dopatrzył. (C. d. n.)

Śmierć polskiego historyka.

Przed kilku dniami zmarł w Krakowie najstarszy historyk polski, siedmdziesięciosześcieletni



Smierć polskiego historyka: Ś. p. Lubomir Gadon.

Lubomir Gadon. Urodzony w r. 1832 w Szkudach na Żmudzi, jako syn Alojzego, porucznika gwardyi Napoleona, uczęszczał do szkół średnich w Mitawie, poczem wstąpił do uniwersytetu w Dorpacie, który ukończył ze stopniem kandydata nauk dyplomatycznych. Przez jakiś czas pełnił obowiązki asesora szlachty do kowieńskiej Izby kryminalnej, na początku jednak powstania 1863 roku wyjechał zagranicę, gdzie przebywał przez lat kilkadziesiąt. Początkowo mieszkał w Londynie jako sekretarz agencyi dyplomatycznej, po roku jednak przeniósł się do Paryża, gdzie sprawował przez blisko trzydzieści lat urząd sekretarza pałacu Lambert. W tym też czasie był współredaktorem pisma *Corespondance du Nord-Est*, sekretarzem polskiego towarzystwa historyczno - literackiego i dyrektorem biblioteki polskiej w Paryżu. Władając doskonale także językiem niemieckim, wysyłał często korespondencye do *Allgemeine Zeitung*, zanim gazeta ta stała się orędowniczką idei bismarkowskiej.

Z najgłośniejszych dzieł zmarłego historyka wymienić należy życiorys księcia Adama Czartoryskiego i wydane niedawno dzieje „Emigracyi polskiej“. Zwłokom ś. p. Gadona towarzyszy żal wszystkich jego znajomych, zmarły bowiem cieszył się powszechnym szacunkiem i miłością.

Uporczywe pogłoski.

Od pewnego czasu w prasie rosyjskiej, a za nią i europejskiej, coraz częściej pojawiają się pogłoski o zamierzonem ustąpieniu z zajmowanego stanowiska rosyjskiego prezesa ministrów, Piotra Arkadjewicza Stołypina.

Wieść tę kolportują przeważnie organa prawicy Dumy, które w ten sposób chcą zapewne przyspieszyć spełnienie tego faktu. Niedawno jeszcze te same dzienniki, które głoszą obecnie śmierć polityczną Stołypina, upatrywały w nim swego orędownika, ufając, iż ster nawy państwowej bardziej jeszcze zwróci na prawą stronę. Początkowo zdawały się spełniać te nadzieje i obecny premier był uważany przez „istinno russkich“ za człowieka opatrznościowego. Ponieważ jednak nie poszedł tak daleko, jak tego żądali przedstawiciele związku prawdziwych Rosyan, a mianowicie aby dążył wprost do rozwiązania Dumy, stracił w tych kołach popularność i grozi mu obecnie dymisya.

Jakie będą ostateczne losy dalszej karyery premiera rosyjskiego, dziś trudno przewidzieć i nie wiadomo, kiedy się one i jak rozstrzygną. Groziło mu bowiem w początkach rządów większe niebezpieczeństwo, pamiętny zamach na jego willę pod Petersburgiem, kiedy to dwoje jego dzieci ciężko zostało zranionych, a przecież on wyszedł cało i bez szwanku, ze wzmocnionem nawet politycznem stanowiskiem. Może więc i teraźniejsze „zamachy“ nie będą miały złych dla niego skutków.

Skon inżyniera-profesora we Lwowie.

Z szeregu uczonych, którzy sławę imienia i nauki polskiej ponieśli daleko poza granice kraju rodzinnego, ubyła w bieżącym tygodniu jedna z wybitnych postaci. Oto zmarł we Lwowie profesor politechniki i inżynier cywilny Łukasz Julian Bodaszewski. Zwłoki jego odprowadziły na cmentarz Łyczakowski tłumy młodzieży technicznej, kolegium profesorów i mnóstwo publiczności.

Czem zmarły był dla politechniki i dla polskiej w tym zakresie nauki, charakteryzuje najlepiej przemówienie rektora politechniki Syniewskiego, który taką podał charakterystykę śp. zmarłego: „Wychowanek szkoły politechnicznej, kształcił się śp. Łukasz Julian Bodaszewski za granicą, poświęciwszy się specyalnie budownictwu wodnemu. Po powrocie brał czynny udział w życiu jako inżynier cywilny. Można śmiało powiedzieć, że w dziedzinie inżynieryi wodnej był on najznakomitszym w kraju znawcą. Nie było też ważniejszej sprawy, ważniejszego projektu inżynierskiego, któryby się obszedł bez jego współpracownictwa. W jednych brał udział bezpośrednio jako twórca, w innych pośrednio jako doradca lub krytyk. On za-



Skon inżyniera-profesora we Lwowie: Ś p. Łukasz Julian Bodaszewski.



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Uporczywe pogłoski: Minister prezydent rosyjski, Stołypin (1), w otoczeniu rodziny; 2. żona premiera; 3. córka jego, która w czasie pamiętnego wybuchu odniosła ciężkie rany; 4. syn premiera.

projektował kanalizacyę Tarnopola, oświetlenie N. Sącza, przy wyzyskaniu sił wodnych, kolosalnego znaczenia ujęcie wód Dniestru, wodociągi lwowskie i w. i. Ciągle jednak marzył o pracy naukowej i pomimo nadzwyczajnie wytężonej pracy praktycznej zdołał przecie znaleść czas na pisanie rozpraw naukowych, między innemi na znakomite dzieło „Teorya ruchu wody“. To też gdy katedra budownictwa wodnego była do obsadzenia, grono profesorów jednomyślnie wykłady te powierzyło śp. Łukaszowi Bodaszewskiemu. Na stanowisku tem położył niezwykłe zasługi jako wytrawny i niestrudzony pedagog i zyskał sobie ogromną sympatyę młodzieży. Działalnością swoją, charakterem, który miał w sobie wiele szlachetnego marzycielstwa, zadzierżgnął silny węzeł, którym śmierć potrafiła tylko szarpnąć, sprawiając nam przez to niewypowiedziany ból, ale go zerwać nie potrafiła“.

Śp. Bodaszewski zmarł, licząc lat dopiero 56.

Z TYGODNIA

Coś się popsuło w tem państwie duńskiem, które leży naprzeciw Podgórza na lewym brzegu Wisły. Chwila, w której to piszę, oddalona jest zaledwie o dni 12 od dnia wyborów, a naród krakowski nie wie nawet, na kogo mu każą jego władcy-uzurpatorzy głosować. Bo ten naród tak stoi wysoko pod względem umysłowym, jest tak niezależny, tak ma własną wolę i własne zdanie, że sam nie umie wybrać z pośród siebie najlepszych i najzdolniejszych, lecz czeka, jakich mu ta lub owa klika narzuci. Dawniej, przed laty 40, 30, a nawet 20, kiedy wśród tego narodu było procentowo mniej inteligencyi, zwoływano zebrania wyborcze, wybierano komitety, radzono w nich, komuby należało powierzyć mandat, poczem znów zwoływano zebrania, słuchano wyznania wiary kandydatów i dopiero potem wszystkiem kandydatury większością głosów zatwierdzano. Trwało to najmniej miesiąc, wśród którego to czasu wyborcy zastanawiali się nad kwalifikacyami kandydatów i szli do urny z wyrobionem zdaniem. Obecnie rzecz się dzieje w sposób uproszczony. Wyborcy zupełnie nie łamią sobie głowy, na kogo mają głosować. Zbiera się dwie, trzy grupki osób, których nikt nie wybierał i do myślenia za cały ogół nie upoważnił, i te grupki z pomiędzy siebie wybierają kandydatów na podstawie wspólnych interesów. Pan A. służył tej lub owej grupce, pomógł tym lub owym panom do zdobycia stanowiska, więc grupa uznaje, że mu należy dać nagrodę w postaci mandatu. Pan B. ma w pewnej warstwie znaczne wpływy, może dostarczyć kandydatom grupy 400 lub 500 głosów, więc robi go się kandydatem. Pan C. jest człowiekiem sprytnym, świetnym agitatorem, będzie umiał napędzić wyborców, więc trzeba go „postawić“, gdyż bez jego pomocy mogłaby grupa nie znaleść większości. Pan D. da pieniędzy na wybory, a bez tego *nervus rerum* ani myśleć o zwycięstwie, więc mianuje go się na poczekaniu człowiekiem niezłomnych zasad, dzielnym i światłym obywatelem, bez którego obejść się w sejmie nie byłoby można. Pan E. pracuje w zawodzie licznie reprezentowanym, a ponieważ jest nadzieja, że wszyscy koledzy pójdą za nim, bo wmówiono w nich, że powinni mieć swego przedstawiciela, przeto i on jest kandydatem, gdyż przyniesie grupie w ofierze głosy swoich kolegów, ich krewnych i powinowatych aż do czwartego stopnia. Panu F. należy spłacić „weksel honorowy“, bo do tej chwili nie było możności nagrodzić go za usługi oddane panom A. B. i C. Pan G. żąda wprost sam mandatu, grożąc, że ustąpi z grupy, a wiadomo, jak byłoby jej ciężko bez jego pomocy. Pan H. jest żydem, a bez głosów żydowskich ani marzyć o większości, więc musi się postawić jego kandydaturę. Pan J. ma pewny wybór w innej kuryi, ale z tej kuryi właśnie chciałby kandydować wpływowy pan K., więc stara się pana J. wsunąć między kandydatów miejskich, aby mógł dla siebie znaleść miejsce. I tak dalej i tak dalej. Toczą się targi, układy, omawiają się interesa jednostek. Czy kandydaci są ludźmi wybitnych zdolności i charakteru, czy położyli już jakie dla ogółu zasługi, czy są ludźmi pracy, wiedzy, inicyatywy, czy dali dowód, że pragną gorąco dobra kraju, czy który z nich ma jakiś program pracy, czy wniesie ze sobą co nowego, czy wie, po co idzie do sejmu? — o to nikt nie pyta. A kochany naród czeka, jak się te interesa ułożą i dopiero w ostatniej chwili dowiaduje się, na kogo mu pozwolono głosować.

Ten zupełny zanik poczucia obowiązku obywatelskiego u ogółu wyborców przybiera rozmiary zastraszające. Wyborcy ci są po prostu pionkami w rękach sprytnych graczy. Nie wolno im mieć własnej woli, własnego zdania. Manekiny!

O to własne zdanie coraz teraz trudniej. Widzimy to najlepiej z jednomyślności, jaka panuje w naszem dziennikarstwie co do oceny wniosków pruskiej Izby panów w sprawie wywłaszczenia. Wszyscy się cieszą, że ci „panowie“ wprowadzają ograniczenia do ustawy rządowej, a nikt nie chce zrozumieć, że te ograniczenia są gorsze, niż projekt rządowy. Chronią one wprawdzie w pierwszym rzędzie dziedziczną większą własność, ale wydają w zamian na łup własność średnią i małą. Pieniądze, które rząd pruski przeznaczyłby na wywłaszczenie wielkiego pana, pójdą na wywłaszczenie „drobiazgu“. Nietknięty zostanie pałac, w którym mieszka jedna rodzina polska, ale za te same pieniądze wywłaszczonych zostanie obok niego kilka dworków i kilkaset chat wieśniaczych, w których mieszka kilkaset rodzin polskich. Projekt Izby panów to powolne, ale systematyczne, zupełne wywłaszczenie z ziemi chłopa wielkopolskiego. Zostanie na razie ten tylko, co dostał ziemię po ojcach, lub ją nabył przed dziesięciu laty. Ale nie będzie mógł tej ziemi ani rozszerzyć, ani zamienić — będzie przykuty do tego kawałka gruntu, przy jakim zastała go ustawa. Jego spadkobiercy będą musieli, albo tym kawałkiem się dzielić, co doprowadzi do niesłychanego rozdrobnienia i zubożenia, albo pozostawić na gruncie jednego spadkobiercę i iść w świat za chlebem; choćby mieli pieniądze, nabywać ziemi nie zechcą, bo nabędą ją dziś, a jutro zostaną z niej wyrzuceni. Co więcej, tylko dzieci i krewni drugiego stopnia będą mogli utrzymać się przy ziemi; grunt otrzymany w spadku przez dalszych krewnych podlegałby ustawie o wywłaszczeniu. Taki jest sens projektu Izby panów, a my się cieszymy z tego daru Danaów, nie widząc, że choć ma on pozory opozycyi przeciw projektowi rządowemu, to w gruncie rzeczy idzie rządowi na rękę, stanowi większe dla nas niebezpieczeństwo.

Podobno grozi inne niebezpieczeństwo, nie nam, ale całej Europie — wojna Turcyi z Rosyą ma być za pasem. Ale jak już raz, wbrew opinii całego dziennikarskiego świata, nie wierzyłem w zapowiadaną wojnę Ameryki z Japonią i pogodziłem ze sobą na szpaltach „Nowości“ te dwie światowe potęgi, tak i obecnie, niech mi Europa wierzy, postaram się o załagodzenie sprawy. Wprawdzie Turcya przyzwyczajona była wojować z Rosyą co lat 15—20 (wojny od 1768—1774, od 1788—1792, w roku 1806—7, od 1827—1829, od 1853—1855 i w r. 1877—1878), ale obecnie od tego przyzwyczajenia odzwyczaiła się i 30 już lat ubiegło od Plewny. Posiadłościom tureckim w tej chwili nic nie zagraża, a o tem, aby Turcy mieli nadzieję odzyskać to, co stracili, marzyć niepodobna. Biliby się więc chyba dla kogoś, a tacy głupi znowu nie są. Stąd mam prawie pewność, że wysoka Porta przyjmie moje pokojowe pośrednictwo i że redakcye naszych dzienników będą zwolnione od ponoszenia wydatków na własnych, specyalnych korespondentów z placu boju. Co prawda owe koszta nie byłyby zbyt wielkie, bo nasi właśni, specyalni korespondenci z placu boju siedzą zazwyczaj we Lwowie, lub w Krakowie, gdzie jest bezpieczniej i skąd lepiej, jako z oddalenia, obserwować wypadki wojenne.

Jeżeli jednak wojna z Turcyą nie grozi, to z drugiej strony naszej płci pięknej zagraża pewnego rodzaju tureczczyzna. Gazety niemieckie donoszą, że Mormoni, zwolennicy poglądów tureckich na małżeństwo, zawitali do Europy w celach propagandy. Nie pozwolono im wylądować w Hamburgu, więc wysiedli na ląd w Amsterdamie i rozproszyli się po całem państwie holenderskiem, znanem nam tak dokładnie z „Wesołej wojny“ i z innych operetek. Słuszna więc zachodzi obawa, aby ci panowie i do nas nie dotarli, zwłaszcza iż grunt pod przyjęcie ich zasad jest już znacznie przygotowany.

Zdaje się, że nie dlaczego innego, ale właśnie w przeczuciu tego niebezpieczeństwa, damy lwowskie w gwałtowny sposób domagają się, aby nowa ordynacya sejmowa opierała się już nie na czteroprzymiotnikowem lecz pięcioprzymiotnikowem głosowaniu. Chcą one mianowicie, aby wybory były równe, powszechne, tajne, bezpośrednie i bezpłciowe. Kronikarz „Nowości“, który niedawno jeszcze był przeciwnikiem wtrącania się niewiast do polityki, obecnie popiera żądania dam lwowskich, sądzi bowiem, że to, co się dziś dzieje z wyborami, wykazuje jaknajdobitniej niedołęstwo mężczyzn i konieczność naprawy stosunków. Może białogłowy wpuściłyby nieco świeżego powietrza do zatęchłego gmachu intryg wyborczych. W każdym razie gorzejby nie było, bo gorzej już być nie może. Osobiście też wolałbym, aby mi zawdzięczała wybór jaka młoda, ładna kandydatka, aniżeli stary, zdezelowany, przeżyty polityk krakowski. Przypuszczam nawet, że wyrównałyby się znacznie różnice wyznaniowe. Niejeden gorliwy katolik, który nie chciałby głosować za p. Sarem lub Grossem, z miłą chęcią oddałby swój głos pięknej żydówce.

Tylko ekspropriatorzy warszawscy dam nie szanują: okradli świeżo słynną, boską divę operetkową, p. Kawecką. Jestto osoba nietylko śpiewająca, ale i gwiżdżąca. Gwizdała ona dla wszystkich i na wszystkich, więc i jej gwizdnął ekspropriator z garderoby kostyumy, wartości 400 rubli. Gwizdał też na wszystko p. Rajchman, aż się doczekał, że teraz co weźmiesz jakie pismo warszawskie do ręki, to każde gwiżdże na p. Rajchmana. Ale on sobie z tego nic nie robi i gwiżdże dalej. Ba! gwiżdże i jego służba. Oto świeżo wytknięto wielkie nieporządki na widowiskach operowych Filharmonii — ale to p. Rajchmana nie wzruszyło. W dniu 13. lutego znalazło się kilkudziesięciu widzów bez miejsca, mimo kupionych biletów. Szukano p. Rajchmana po całym teatrze, ale znikł jak kamfora. A kiedy jeden ze świadków oświadczył, że całe to zajście opisze w gazetach, ktoś ze służby przyjął to oświadczenie śmiechem i oznajmił, uderzając się po kieszeni, iż „p. Rajchman ma gazety tutaj“. Przesada widoczna, boć „Kuryer“ nie jest przecie jedyną w Warszawie gazetą.

Z Warszawy też donoszą, że czcigodny prezes Macierzy p. Osuchowski otrzymał nareszcie zupełne zadośćuczynienie za napaść p. Staweckiego. Liczne adresy i wyrazy hołdu, jakiemi go ze wszech stron darzono, były mu przyjemne, ale nie rozchmurzały jego oblicza. Dopiero kiedy komitet cyklistów uchwalił wyrazić mu swe uznanie, zniknęły zmarszczki z jego czoła i zawołał: teraz jestem już spokojny o wyrok historyi.

A propos uznania jeszcze raz gorąco polecam „Straży Polskiej“, aby na gwałt urządziła jaki bal, jeżeli chce zyskać przychylność opinii i wstępnym bojem zdobyć dobrą reputacyę. Oto naprzykład lwowska „Organizacya narodowa“ (instytucya najwyraźniej pokrewna celami naszej Straży) wydała zabawę taneczną dla członków — i dzienniki pełne są uznania dla zarządu za „pokrzepienie ciała i ducha“, chwalą wyborne... przekąski, wyrażają wreszcie „serdeczne podziękowanie“ za ten tak uroczy, prawdziwie narodowo-demokratyczny wieczór. A ty, kochana Straży, myślisz o jakimś bojkocie towarów pruskich, o jakiemś popieraniu przemysłu swojskiego, o uświadamianiu ludu, obronie praw języka polskiego, o budowaniu domów ludowych, o opiece nad wychodźtwem, o odczytach, pogadankach, obchodach narodowych i innych, tym podobnych faramuszkach. Ocknijże się — karnawału jeszcze dni dziesięć — masz czas nawet na dwa bale.

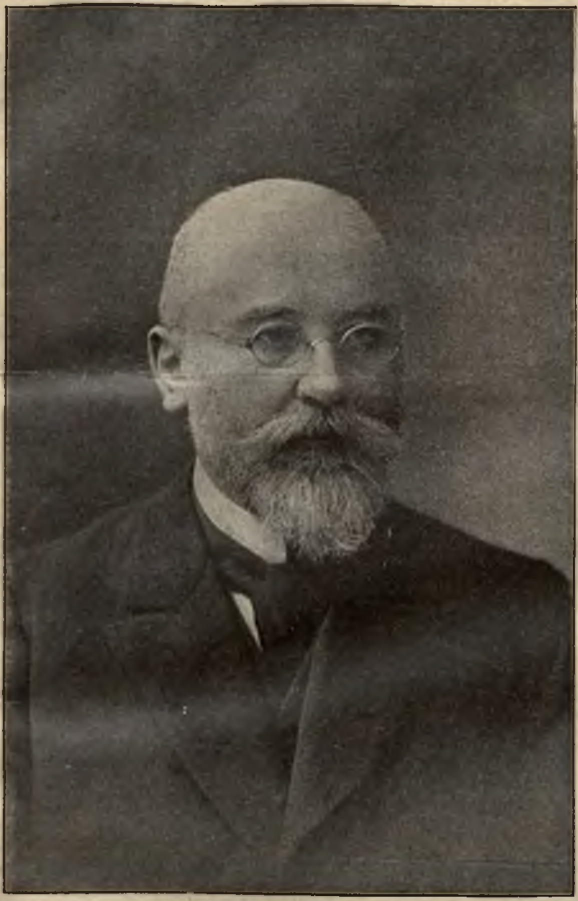
Głosy publiczne.

»Przewodnik oświatowy«, organ Tow. Szkoły Ludowej, poświęcony sprawom oświaty poza szkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego, zeszyt II. za miesiąc luty 1908 r. opuścił prasę i zawiera następujące artykuły: Wobec Walnego Zgromadzenia, Potrzeby kulturalne na Śląsku Cieszyńskim, Uwagi w sprawie elementarza dla Kursów dorosłych analfabetów, Z powodu obrad nad reformą szkoły, W sprawie biblioteki publicznej w Krakowie, Temat do pogadanki, Kronika, Z prasy, Dział sprawozdawczy T. S. L., Okólniki, Komisya Kwalifikacyjna, Nekrologia, Z działalności Kół, Wiadomości różne, Dar Narodowy 3 Maja, Przegląd krytyczny literatury.



Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach.

Głośny i pamiętny zamach na generał-gubernatora Warszawy Skałłona, dokonany w sierpniu 1906 r., znalazł epilog w rozprawie karnej przeciw uczestniczce owego zamachu, Wandzie z Krahelskich Dobrodzickiej, przed ławą przysięgłych w sądzie obwodowym w Wadowicach.



Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach: Obrońca, adwokat dr. Łazarski.

Zamach ów i wszystkie jego szczegóły zbyt żywo jeszcze tkwią w pamięci ogółu, by trzeba było przedstawiać go obszernie. Przypomnieć tylko w krótkości warto, że zamach ten, choć urządzony bardzo sprytnie, nie powiódł się, a sprawcy zdołali wszyscy ujść przed pościgiem warszawskiej policyi. Policya zdołała stwierdzić wówczas tylko tyle, iż między innymi wzięła w zamachu udział Wanda Krahelska, należąca do miejscowej organizacyi bojowej polskiej partyi socyalistycznej. Tymczasem jednak winna opuściła granice cesarstwa rosyjskiego i przebywała zagranicą, częścią w Szwajcaryi, częścią w Galicyi. Tutaj też, w Krakowie, poślubiła artystę malarza Adama Dobrodzickiego, zyskując tem samem obywatelstwo i poddaństwo austryackie.

O pobycie w Krakowie uczestniczki zamachu na generał-gubernatora Skałłona dowiedziały się władze warszawskie, odniosły się więc do rządu austryackiego o jej wydanie. Wydanie to jednak nie mogło nastąpić, albowiem chodziło o zbrodnię natury politycznej. Ponieważ jednak Wanda Dobrodzicka była już poddaną austryacką, przeto prokuratorya państwa postanowiła pociągnąć ją do odpowiedzialności za spełniony w Warszawie czyn i zarządziła jej uwięzienie. Wskutek dalszych starań rządu rosyjskiego, miała sprawa ta być sądzoną przed trybunałem przysięgłych w Wiedniu, tam też aresztowaną Dobrodzicką przewieziono. Wywołało to jednak słuszne poruszenie w całem polskiem społeczeństwie, które nie mogło pozwolić na takie zlekceważenie tutejszego sądownictwa. Sprawa stała się jeszcze głośniejszą i znalazła oddźwięk w parlamencie, gdzie posłowie z Galicyi zażądali stanowczo, aby rozstrzygnięcie sprawy W. Dobrodzickiej oddane zostało przysięgłym polskim. Na skutek tego przydzielono sprawę ławie przysięgłych w Wadowicach, ponieważ do tego miasta jest przynależnym mąż oskarżonej.



Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach: Trybunał, prowadzący rozprawę. Za stołem: prokurator dr. Gruszczyński, radca Krywult, prezydent dr. Stawarski i radca Majewski.

Przez dwa dni, poniedziałek i wtorek tego tygodnia, toczył się proces przed wadowickim trybunałem przysięgłych, pod przewodnictwem prezydenta tamtejszego sądu, dra Stawarskiego Wywołał on łatwo zrozumiałe zainteresowanie nietylko w Wadowicach, nietylko w całym kraju ale i zagranicą. To też obszerna, jasna sala rozpraw sądu tamtejszego nabitą była przez oba dni publicznością, przysłuchującą się z natężoną uwagą przebiegowi procesu. Miarą zainteresowania, jakie proces Wandy Dobrodzickiej wywołał, jest też fakt, iż wiele dzienników polskich wysłało do Wadowic specyalnych sprawozdawców, iż przybył tam także sprawozdawca pism wiedeńskich, że wreszcze pisma illustrowane wysłały rysowników, nasze zaś pismo prócz sprawozdawcy, fotografa redakcyjnego, celem dokonania zdjęć w sali sądowej.

W skład trybunału wchodzili prócz prezydenta dr. Stawarskiego, radcy Krywult i Majewski, oskarżenie wnosił prokurator dr. Gruszczyński, bronił zaś adwokat poseł dr. Łazarski. Kulminacyjnym punktem procesu było przesłuchanie oskarżonej. Jest to kobieta młoda, średniego wzrostu, o wyrazistych rysach; włosy krótko przystrzyżone, tworzą bujną, czarną czuprynę; odziana w czarną bluzkę aksamitną. Pytana przez przewodniczącego przyznała się do spełnienia zarzuconego jej aktem oskarżenia czynu i skreśliła motywy, które ją i przyjaciół politycznych do zamachu skłoniły. Zeznała też, że do kroku tego nikt jej nie zmuszał. Przesłuchanie znawcy, oficera Kirschbaumera w sprawie siły wybuchowej bomb, oraz odczytanie zeznań świadków zamachu, uzupełniło postępowanie dowodowe, które zakończyło się już pierwszego dnia rozprawy. Drugi dzień wypełniły wywody prokuratora i obrońcy dr. Łazarskiego, *resumé* przewodniczącego oraz narada sędziów przysięgłych i ich werdykt.

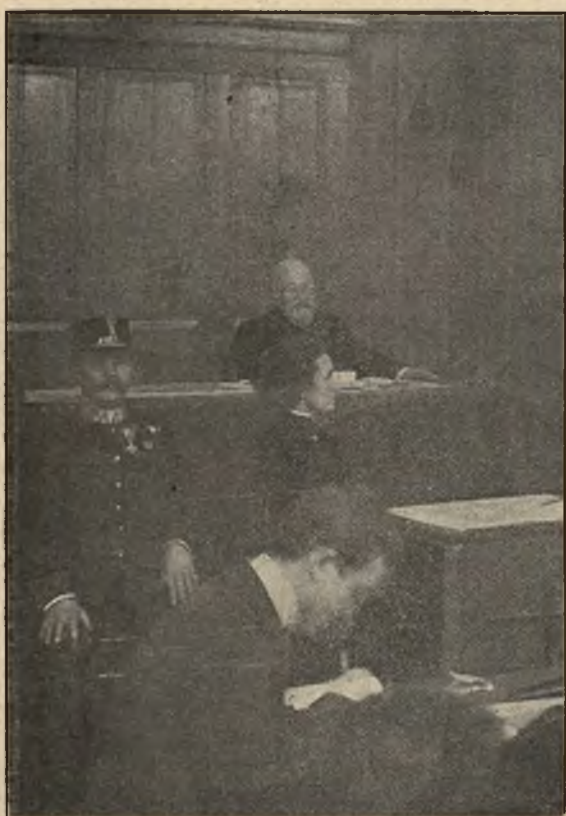
Werdykt ten, ogłoszony przez zwierzchnika ławy przysięgłych, rejenta Gorączkę, zaprzeczył wszystkimi dwunastu głosami oba postawione ławie pytania główne, wskutek czego trybunał ogłosił wyrok, uwalniający oskarżoną.



Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach: Ogólny widok sali sądowej w pierwszym dniu rozprawy, w chwili przesłuchania znawcy, kapitana Kirschbaumera.

Nowy ambasador francuski w Petersburgu.

W gronie dyplomatów, akredytowanych przy dworze w Petersburgu, zaszła zmiana z powodu ustąpienia ambasadora francuskiego Bomparda, a



Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach: Oskarżona Wanda Dobrodzicka.

mianowania na miejsce jego wiceadmirała Toucharda. Nominacyi tej sfery polityczne przypisują ważniejsze znaczenie, nowy ambasador bowiem ma zacieśnić przymierze francusko-rosyjskie, które od pewnego czasu poczęło się rozluźniać. „Entante cordiale“ zostało naruszone głównie z winy dotychczasowego przedstawiciela Francyi, który okazywał sympatye liberalnym politykom rosyjskim. To też dzienniki konserwatywne bardzo ostro atakowały ambasadora Bomparda. Z tych i innych powodów nastąpiło pewne oziębienie stosunków między Francyą, a Rosyą które dopiero admirał Touchard będzie „naprawiać“.

Nowy ambasador liczy obecnie sześćdziesiat trzy lat życia. Jako młodzieniec wstąpił do szkoły marynarskiej, którą ukończył ze stopniem oficera marynarki. W czasie wyprawy tonkińskiej pełnił służbę już ze stopniem kapitana i dowodził krążownikiem „Morengo“, a potem „Ifigenia“. Mianowany kontradmirałem, a w kilka lat później wiceadmirałem, był przez trzy lata prefektem morskim w Cherbourgu, komenderował częścią eskadry północnej, a potem eskadrą na morzu Śródziemnem, aż do jesieni roku zeszłego, kiedy objął naczelne dowództwo połączonych sił morskich francusko-hiszpańskich. W Petersburgu nominacyę admirała Toucharda powitano bardzo przychylnie, gdyż Rosya życzliwiej na ogół wita dyplomatów wojskowych, niż „cywilnych“.



Proces Wandy Dobrodzickiej w Wadowicach. Ława sędziów przysięgłych.



Nowy ambasador francuski w Petersburgu: Wiceadmirał Touchard.

Zagadka dla pocztowców.



Urzędnicy pocztowi muszą często łamać sobie głowę, aby odczytać tajemnicze hieroglify, mające stanowić adres. Jakiego wysiłku potrzeba nieraz do odcyfrowania adresu, świadczy zamieszczony powyżej adres, z którego zwykły śmiertelnik nic nie byłby w stanie się domyśleć. A jednak pocztowiec potrafił się tam doczytać słów: Szanowny Pan Paweł Huk, wieś (niewiadoma), p. w Sądowej Wiszni, kraj Galicya.

Czesław Ładoś-Wiśniewski.

Z pomiędzy szarej rzeszy sług Melpomeny, pracujących nieraz wśród głodu i chłodu po najrozmaitszych trupach prowincyonalnych Królestwa Polskiego, zdołał się wybić zdolnościami swemi i inteligencyą artystyczną na jedno z wybitniejszych miejsc Czesław Ładoś-Wiśniewski, obecnie dyrektor teatru w Częstochowie.

Po ukończeniu gimnazyum wstąpił Wiśniewski do szkoły dramatycznej ś. p. Derynga, a uzupełniwszy pod kierunkiem tego znakomitego profesora swoje wiadomości, rozpoczął pracę na scenie krakowskiej, następnie zaś lwowskiej. Wnet potem zagnały go losy do Królestwa Polskiego; grywając tam w różnych towarzystwach, dał się poznać publiczności miast gubernialnych i Warszawy jako wybitny talent charakterystyczny. Zjednywał sobie też wszędzie sympatye publiczności i kolegów, zarówno dzięki swym zdolnościom, jak uczynności i uprzejmości.

Już jako wyrobiony aktor został zaangażowany na scenę poznańską, gdzie jednak bawił niedługo, a powróciwszy do Królestwa złożył własne towarzystwo i objeżdżał z niem kolejno miasta gubernialne. W wędrówce tej zaskarbił sobie wszędzie uznanie prasy i publiczności, jako bardzo dzielny kierownik teatru, pracowity i oddany z całem zamiłowaniem scenie artysta, utrzymujący teatr prowincyonalny na wyżynie prawdziwej sztuki. Z kolei objął dyrekcyę teatru lubelskiego i kaliskiego, a obecnie pracuje ze swojem towarzystwem w Częstochowie, ciesząc się i tam dużą sympatyą i uznaniem prasy i ogółu. Podnieść także należy, że jako wytrawny reżyser niestrudzenie pracuje nad młodemi siłami, wyszukując wśród nich zdolności i wyrabiając je na użytecznych pracowników polskiej sceny.



Czesław Ładoś-Wiśniewski.

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

13 Ciąg dalszy.

De Blanc przytulił do piersi nieszczęśliwą córkę i łzy radości i smutku zarazem stoczyły się z oczu jego na głowę dziewczyny.

— Zabiorę cię dziecko moje, wrócimy do matki.

— Kocham doktora Hergenröttera — odezwała się Hermance jak przez sen.

— Dobrze, dobrze! pomówimy o tem moje dziecię.

— Ja tylko za niego wyjdę zamąż.

— I owszem, i owszem. Pomówimy o tem, pomówimy, ale tymczasem dziecino moja przebierz się w te suknie, które ci matka przysłała.

De Blanc wyszedł, a tymczasem siostra króla dziadów pomagała pannie Hermance przebrać się w przywiezioną garderobę. W pół godziny odwoził de Blanc córkę do domu. Gdy się zatrzymali przed pałacem, a Hermance żałobną chorągiew na nim spostrzegła, zapytała z przerażeniem:

— Czy mama umarła?

Był to pierwszy objaw ożywienia serca i umysłu u tej biednej dziewczyny, zniecznulonej i ubezwładnionej hipnotyzowaniem. Ten wykrzyk pełen boleści, dodał bankierowi otuchy, że biedna jego córka odzyska zdrowie. Odpowiedział też z odcieniem wewnętrznego uspokojenia, chociaż z widocznym smutkiem:

— Nie, moje dziecię. Na szczęście mama twoja żyje, ale niestety Jacques umarł.

Hermance spojrzała na ojca przeciągłym wzrokiem i rzekła apatycznie, jakby znowu zatraciła wszelką świadomość własnej myśli, własnej woli:

— Ja nie chcę wyjść za mąż za Jacques'a, ja kocham doktora Hergenröttera.

De Blanc spuścił smutnie głowę, załamał ręce i zawołał:

— O, mój Boże, za coś mnie tak strasznie ukarał.

Usłyszała to Hermance, popatrzyła na ojca z osłupieniem, a potem wsunęła się w tył powozu i zamyśliła. Widać było na jej twarzy, że stacza w głębi duszy jakąś walkę ze sobą. Zapewne budziły się w niej dawne wspomnienia i kłóciły z obecnym nastrojem psychicznym. Jeszcze kilka minut upłynęło i Hermance znalazła się w objęciach łkającej ze wzruszenia matki.

XI.

Popołudniu tego samego dnia odbywał Guttman konferencyę z prokuratorem. Prokurator słuchał wszystkich relacyj bardzo cierpliwie i uważnie, ale znać było, że jest jakiś zakłopotany, czy też niezadowolony. Prawdopodobnie nie było mu to miłe, że władze miejscowe były przez długi czas bezradne, a dopiero cudzoziemiec wpadł na trop zbrodniarzy.

— Przyznaję, panie Guttman — mówił prokurator — że argumenty pańskie są wcale wymowne, zupełnie logiczne, ale właściwie dowodów nie masz pan żadnych, prócz tego, coś pan w towarzystwie ogrodnika Laquera przez dziurę w ścianie zobaczył i usłyszał. Doktora Hergenröttera nie znasz pan i nie widziałeś go nigdy, więc nie mógłbyś pan nawet stwierdzić tożsamości osoby. Nie mamy też najmniejszej podstawy do obwinienia Hergenröttera o zamordowanie agenta asekuracyjnego z Orleanu. To co Jacques de Blanc prawił w gorączce, nie może w żaden sposób uchodzić za obwinienie lub zeznanie, boć przecież wiadomo, że w gorączce plączą się myśli i wytwarzają niekiedy najpotworniejsze złudzenia. Przedłożyłeś pan koncept listu, który doktór Hergenrötter pozostawił pannie Blanc do przepisania, ale ten koncept pisany na maszynie, a więc nie może tworzyć dowodu, że pochodzi z ręki doktora.

Guttman nie zraził się tem bynajmniej, jeno z całym spokojem odpowiedział:

— Ja też panie prokuratorze nie domagam się wcale aktu oskarżenia, a proszę jedynie o to, aby pan zatwierdził uwięzienie Hergenröttera przez policyę do czasu, gdy złożę dowody, a to nastąpi w ciągu dni kilku. Tak wyrafinowany zbrodniarz, jak Hergenrötter, nie może ani na chwilę odzyskać swobody, choćby pod najściślejszym dozorem policyi. Jestem pewien, że zdołałby uciec zagranicę— w ciągu godziny. Nadmieniłem już, że spodziewam się przybycia sławnego na cały świat hipnotyzera z Londynu, a ten naprawi hipnozą to wszystko, co doktor Hergenrötter zawinił. Jestem pewien, że tego bezczelnego Prusaka przekona doktor Tonkins, iż trafiła kosa na kamień.

— To już zostawiam uznaniu pańskiemu — rzekł prokurator — zastrzegam sobie tylko, że przy hipnotyzowaniu będę obecny. Więźnia przeprowadzi się do jego własnego mieszkania i tam odbędzie się eksperyment; ja i sędzia śledczy będziemy się przysłuchiwali i przypatrywali z przyległego pokoju.

— Co do tego, to już sam doktor Tonkins porozumi się z panem prokuratorem, ja tymczasem pospieszę gromadzić ciekawe dla pana materyały.

Pożegnawszy prokuratora, pospieszył do głównego urzędu telegraficznego, w którym miał poste restante otrzymać odpowiedź na telegram do Londynu. Czekała już na niego, ale doktor Tonkins zawiadomił, że dopiero za trzy dni przybędzie. Wcale go to nie zmartwiło, a nawet rad był temu, bo wskutek śmierci i pogrzebu Jacques'a było dość zamięszania w domu Blanc'ów, a takie zamięszanie przeszkadzało w znacznym stopniu dalszej akcyi co do kasyera i buchaltera.

Ponieważ główny sprawca zbrodni był pod kluczem i nie mógł już niczem przeszkadzać Guttmanowi, opuścił Guttman schowek u dziadowskiego króla i przeniósł się na mieszkanie do swojej siostry. Ale i tu nie próżnował, tylko badał starannie willę Blanc'ów nad Sekwaną, tudzież owe lokale, w których szajka Hergenröttera grywała w karty. Freddy pozostał nadal na swojem stanowisku, jako panna Mary de la Croix.

Nikomu z urzędników nawet przez głowę nie przeszło, że są wszyscy pod najściślejszą kontrolą tej uroczej sekretarki, w której się prawie wszyscy na zabój kochali. Gdy biuro zamknięto i wszyscy się porozchodzili, sekretarka przeglądała najściślej księgi kasowe, porównywała je ze sobą. Dotychczas nie natrafiła na żadną nieprawidłowość, przejrzawszy wszystko, co w ostatnich kilku dniach w księgi zaciągnięto. Oczywiście, że nie poprzestała na tem, ale postanowiła cofać się wstecz i badać dawniejsze zapiski.

W pogrzebie Jacques'a nie wzięła udziału, udając ogromny ból głowy, a gdy cały personal udał się na cmentarz, Mary de la Croix weszła do biura, aby dokonać dalszego przeglądu ksiąg. W przegrodzie Clara spostrzegła na wieszadle zawieszony surdut, w którym zwykle do biura przychodził i tam przebierał się dopiero w biurową, wygodną marynarkę. Wychodząc na pogrzeb zapomniał się przebrać. Ciekawością zdjęta zajrzała do kieszeni surduta i znalazła tam zwiniętą karteczkę. Był to odcinek z bloku, stwierdzający odebranie z kasy 200 tysięcy franków. Dlaczego ten odcinek tu się znajdował? Oczywiście nic innego, tylko ta suma utonęła w kieszeniach buchaltera i kasyera.

Mary skopiowała notatkę, a schowawszy odpis zmięła ją na nowo i do tej samej kieszeni włożyła. Potem zajrzała do ksiąg i przekonała się, że ani buchalter, ani kasyer tej kwoty do swych ksiąg nie zaciągnęli.

Nazajutrz rano weszła Mary pierwsza do biura, ażeby obserwować zachowanie się Clara, ale buchalter Claro do biura nie przyszedł. Natomiast dostrzegła, że kasyer Terra dziwnie był roztargniony, niespokojny i na nią z niechęcią spoglądał. Mary nie spuszczała go z oka, ani na chwilę biura nie opuszczała, a nawet śniadanie kazała sobie tam przynieść. Zaledwie je zjadła, wpadł służący z wezwaniem, aby się do bankiera udała. Mary napisała na bilecie, że oddalić się nie może i pana Blanc'a w biurze oczekuje. Jakoż bankier zjawił się natychmiast, wzruszony bardzo, zaniepokojony i pomówił cicho ze sekretarką, a potem odezwał się głośno do wszystkich:

— Moi panowie! — właśnie otrzymałem wiadomość, że pan buchalter Claro odebrał sobie życie. Muszę natychmiast zrewidować jego książki. Najpierw porównamy przedwczorajsze wpisy buchalteryjne z księgą kasową pana Terry. Panna de la Croix zechce cyfry z księgi buchaltera odczytywać, a ja będę je sam porównywał z kasową księgą pana Terry.

Wszystko było w porządku, nie znaleziono najmniejszej nieprawidłowości, urzędnicy odetchnęli. Bankier oddaje klucze od kasy kasyerowi, lecz ten nie przyjmuje ich i odzywa się opryskliwie:

— Podejrzliwość pańska obraziła mnie tak bardzo, że natychmiast opuszczam moje stanowisko.

Powiedziawszy to, sięga po paltot i kapelusz. Mary odezwała się z przekąsem:

— Widzę, że pan się bardzo śpieszy, więc muszę istotnie przeprosić bardzo a bardzo za to, iż pana zatrzymam. Ale to na bardzo krótko. Potrzeba tylko, ażeby pan zdał sprawę z tych dwustu tysięcy franków, które do kasy wpłynęły, a których pan nie zapisałeś.

Zanim się kto spostrzegł, skoczył Emil Terra jak tygrys z pięściami zaciśniętemi ku sekretarce i wrzasnął przeraźliwie:

— Co to znaczy? nędznico!

Ale zanim zdołał jej dotknąć, sekretarka tak silnie uderzyła go pięścią w głowę, że padł z jękiem na podłogę. Ze zręcznością kota rzuciła się na niego, pochwyciła mu ręce, aż mu kości zatrzeszczały i skrępowała je silnie. Kasyer ocknął się, dźwignął i podnosząc związane ręce do góry, chciał ponownie rzucić się na sekretarkę, ale w tejże chwili dobyła rewolweru i przyłożyła do skroni kasyera.

— Kładź się natychmiast — krzyknęła.

Kasyer, jakby w napadzie szału, mimo wymierzonego przeciwko sobie rewolweru, chciał ponownie rzucić się na sekretarkę; ona schowała prędko rewolwer do kieszeni i ujawszy kasyera wpół, rzuciła nim jak piłką o posadzkę tak, że padł omdlały z pokaleczoną głową.

Wszystko to stało się tak prędko, że urzędnicy bankowi właściwie nawet nie mieli czasu zdać sobie z tego sprawy. Mary de la Croix, z całym spokojem, jakby się nic nie wydarzyło, sięgnęła do kieszeni zawieszonego na ścianie surduta, wyjęła ową zmiętą notatkę i podając ją bankierowi, rzekła obojętnie:

— Oto dowód, że spółka Terra-Claro sprzeniewierzyła panu 200.000 fr.

Bankier spojrzał na kartkę i rzekł z oburzeniem:

— To pismo kasyera Terry.

Zaraz potem porozumiał się telefonicznie z firmą, która pieniądze przysłała, aby rzecz ostatecznie sprawdzić i pokazało się, że istotnie pieniądze Claro i Terra sprzeniewierzyli.

— Zapewne pan wyda odpowiednie dyspozycye co do Terry? — zapytała Mary.

— Tak boleśnie dotknęła mnie niegodziwość tych panów, że tylko ze wstrętem i wprost z obrzydzeniem wspominać o tem mogę. Upoważniam panią do czynienia w tej sprawie wszystkiego, co pani uzna za stosowne, a sam nie chcę się w to mieszać.

(Dokończenie nastąpi).

Rozwiązanie zagadek z Nru 6.

Szarada.

Peleryna.

Logogryf.

Oko pańskie konia tuczy.

Szarada I.

Karpaty.

Szarada II.

Wieśniak.

Logogryf.

Juliusz Słowacki.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Schmidtówna Limanowa, A. Kudła Tapin, M Opolska Czarny Dunajec, K. Jurkiewicz Gwoździec, H. Pawłowska Bóbrka, Chodkiewicz Zbydniów, Z. Karasińska Wadowice, A Rotter Stanisławów, M. Kuzia Wadowice, E. Zażulińska Olszanica, F. Kalita Gawłuszowice, Furko Kraków, E. Bogdalski Koropuż, K. Joniakówna Posiecz, J. Bazylewicz Jaktorów, H Gniewoszanka Potok złoty, H. Leligdowiczówna Fraga, B. Sokołowski Skałat, J. Biegoń Sucha, Z. Polakiewiczówna Łomna, P. Drzewiecka Lwów, K. Jasiński Kraków, A. Wiśniowski Sulimów, Kierska Truskawiec, Słonecki Strzyżów, H. Chodkiewicz Warszawa, E. Mayer Milatyn nowy, W. Fried Lwów, J. Wilczek Krzyżtoporczyce, J. Badura Rożdzień M Arbesbauer Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, S. Heintze Oświęcim, A. Pisowicz Dulczówka, S. Zięba Szczakowa, K. Schnitzel Tarnów, F. Niepokój Krosno, E. Merson Rzepedź, Sabina Lwów, S. Polek Rzegocina, Krynicki Cieszanów, A. Bocsoń Bóbrka, E. Jurzyńska Warszawa, A. Wiśniewska Radom, Z. Grabińska Kocierzów, St. Chodorowski Wieliczka, W. Samborski Kraków, B. Kasprzyk Dąbrowa Górnicza, Ks. J. Dagnan Piwniczna, S. Eckhard Stanisławów, C. Fijałkiewicz Sądowa Wisznia, W. Józefek Żbik, Z. de Boulangé Gawłówek, H. Markiewicz Krościenko, W. Rakiewicz Częstochowa, J. Stepanówna Kraków, A. Makowiecki Lisko, W. Masiuk Dębniki, M. Grodzicka Dębniki, W. Zdanowicz Gorlice, E Wieczorkowa Kraków, Z. Gandnik Stary Sącz, J. Małek Przemyśl, B. Mieczkowski Kraków, Czytelnia Jordanów, A. Kleiber Izdebnik, W. Piekarczyk Zwardoń, J. Witowska Zwardoń, Z. Geppertowa Mictowa, M. Radlmesserówna Swoszowice, J. Michalewska Jasło, M. Małaczyński Pikułowice, J. Gabień Stryj, S. Jastrzębski Lublin, E. Derozyński Jarosław, T. Hubl Tarnawa, M. Stachowicz Milkówna Sośnica, L. Złochowski Zaleszczyki, J. Młodzianowska Przeworsk, K. Fuchs Czeremchów, Kasyno Cieszanów, M. Stebnicka Przemyślany, Ks. J. Sengalewicz Bełełuja, F. Angielczykowski Lubaczów, A Nikosiewiczowa Krzywe, S. Kopffowa Tarnów, S. Błażyński Trembowla, M Puchalska Olszanka, W. Neuman Potok złoty, F Kośmider Nowy Sącz, Z. Władkowa, Dzidzia i Bruno Morzyccy Ruszkowo, M. Müllerowa Drohobycz, T. Kapiszewski Kobylnica Wołoska, Ks. E. Siczyński Radcza, K. Wilczyńska.

Nagrodę przez losowanie otrzymała Czytelnia w Jordanowie. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Losowanie naszych nagród.

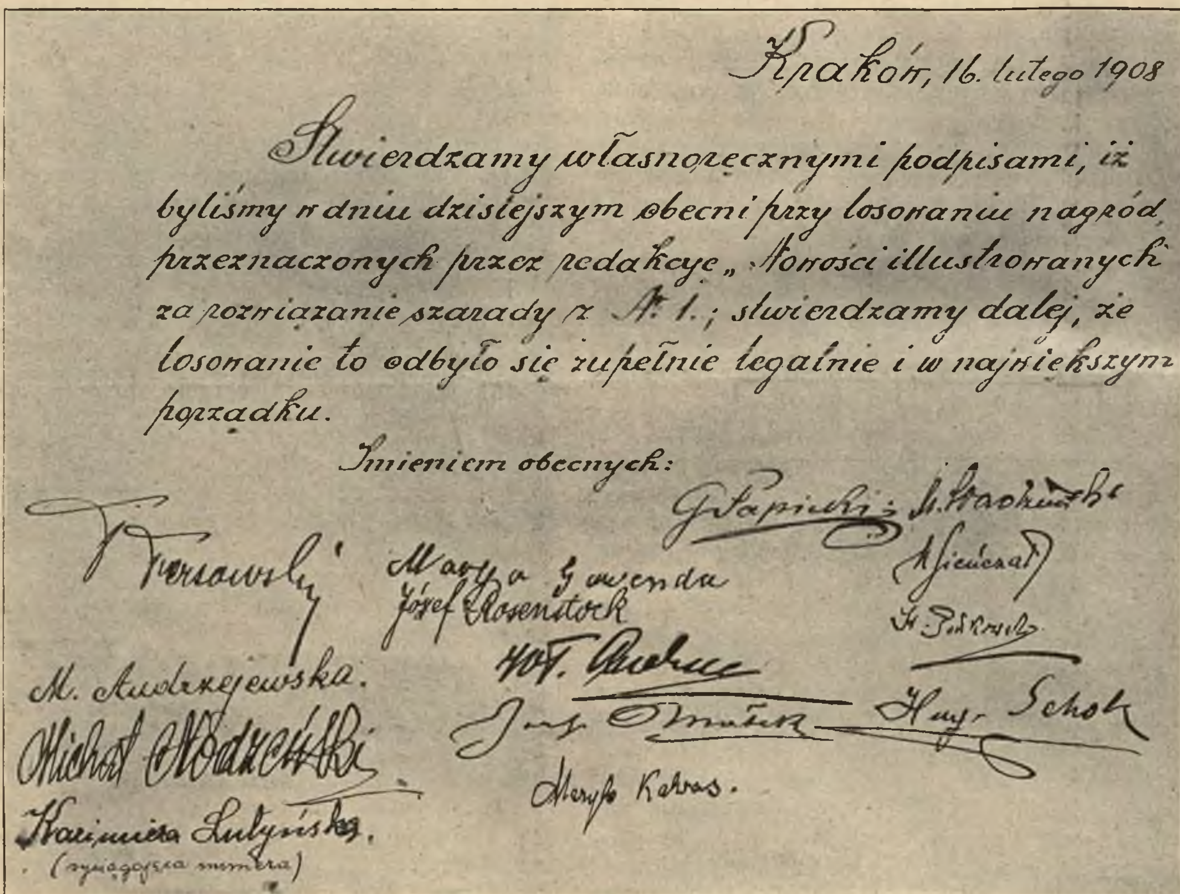
Stosownie do zapowiedzi, ogłoszonej równocześnie z wielką szaradą w numerze noworocznym „Nowości Illustrowanych“, odbyło się w ubiegłą niedzielę w południe w lokalu naszej redakcyi losowanie nagród, przeznaczonych za trafne rozwiązanie owej szarady.

Ze strony Prenumeratorów i Czytelników naszych zjawiła się na tę „uroczystość“ bardzo poważna liczba gości, aby przypatrzyć się przeznaczonym na nagrody fantom, ustawionym na jednym ze stołów sali, oraz uczestniczyć w interesującem losowaniu. Jak duże było zajęcie tem losowaniem, świadczy najlepiej okoliczność, iż przybyli na nie nietylko Czytelnicy z Krakowa, ale i z innych miejscowości, jak z Krosna i Przemyśla.

O oznaczonej godzinie wrzucone zostały do urny kartki z numerami od 1 do 1111, tyle bowiem nadeszło w terminie trafnych rozwiązań, poczem jedna z młodziutkich naszych Czytelniczek, wybrana przez obecnych, wyciągnęła kolejno 10 kartek.

Wynik losowania okazał się następujący: I. nagrodę, wspaniałą maszynę Singera do szycia i haftu, wygrał p. K. Merczyński z Chocimierza (nr. 1071); drugą, bilet jazdy II. klasy z Krakowa do Wenecyi i z powrotem p. Zakrzewski z Krakowa (nr. 77); trzecią, piękny złoty zegarek męski „Omega“, p. Senensieb z Kołomyi (nr. 372); czwartą, złoty łańcuszek do zegarka, p. P. Toperczer z Budapesztu (nr. 659); piątą, gramofon z 12 płytami, Czytelnia katolicka w Makowie (nr. 1050); szóstą, akwarelę Kruszewskiego, p. M. Leyche z Kłodawy w Król. Pol. (nr. 697); siódmą, elegancką papierośnicę srebrną, p. H. Ptasińska z Bukowska (nr. 667); ósmą, przybory do pisania na biurko, p. B. Muszyński ze Lwowa (nr. 42); dziewiątą, pudełko cygar Trabuco, p. Gawecki z Góry Ropczyckiej (nr. 125); a dziesiątą i ostatnią, kasetę pięknego papieru listowego, p. J. Załęski z Konstancina w Król. Pol. (nr. 1105).

Po skończeniu losowania nastąpiło zdjęcie fotograficzne uczestników, a reprodukcyę tego zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze, wraz z kopią protokółu, potwierdzonego własnoręcznymi podpisami części uczestników losowania.


Kraków, 16. lutego 1908

Stwierdzamy własnoręcznymi podpisami, iż byliśmy w dniu dzisiejszym obecni przy losowaniu nagród, przeznaczonych przez redakcyę „Nowości illustrowanych“ za rozwiązanie szarady z № 1.; stwierdzamy dalej, że losowanie to odbyło się zupełnie legalnie i w największym porządku.

Imieniem obecnych:

Marya Gawenda
Józef Rosenstock
M. Andrzejewska.
Kazimiera Lutyńska.
(wyciągająca numera)

Losowanie naszych nagród: Kopia protokołu z podpisami obecnych.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożyła Hermina Siwakówna z Opar.

I.

Pierwsze z drugiem, gdy młode dziewczę wspomina,
Oblewa się rumieńcem, rozjaśnia się jej mina;
Pierwsze z czwartem — szepcą drżące usta z trwogą.
Twarz blednie — oczy łez powstrzymać nie mogą,
Lecz uśmiech i radość wywołać jest wstanie,
Kto *trzecie z czwartem* »dobre« dostanie;
Całość jest miejscowością corocznie zwiedzaną,
Tam jest ludność pobożna z błędów rozgrzeszaną.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Losowanie naszych nagród: Grupa prenumeratorów, którzy wzięli udział w losowaniu. W środku przeznaczone na nagrody fanty.

II.

Trzecie z drugiem bardzo często
W mowie używacie,
Pierwsze z trzeciem w szafie kościelnej
Jako strój drogi chowacie;
Trzecie z pierwszem. sprzęt potrzebny,
Gdy zmieniasz mieszkanie;
Pierwsze z drugiem z dawnych czasów,
Miejsce z cudów znane;
Całość — to wygodny sprzęt domowy,
Wypoczniesz z trudów, gdy złożysz na nim głowę.

Zagadka.

Z liter, tworzących następujące wyrazy, ułożyć znane przysłowie polskie: Kantak, maj i parki.

Zagadka.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Niżej podane wyrazy tak uporządkować, by środkowe litery czytane z góry na dół, dały przysłowie polskie.

Kacap, osa, buk, język, młody, rak, srokosz, Luter, mak, sarna, Jacek, sanie, orzeł, oko, topaz, pan, Ida, rusin, bednarz, len, la et, los, łuk, kij, cep, bok, sokno, Limba, sum, lis, lin, pomoc, batog, ość, mucha, pleśń, hamak, era, Jan, omłot, ornat, bąk, sen, konie, lak, łachman, oście.

Zagadka.

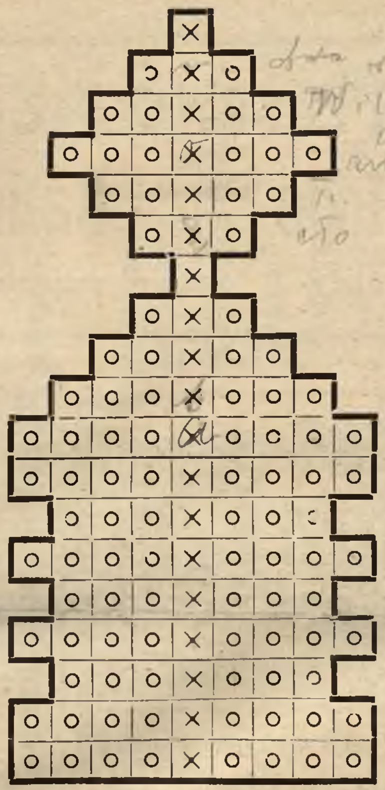
Ułożyła A. Lewandowska, Stryj.

Niżej podane wyrazy uporządkować w ten sposób, by początkowe litery, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko bohatera polskiego, a końcowe, czytane z dołu do góry, dwie sławne miejscowości.

Elsinoe, Zwickau, toga, Serb, Karolina, order, szał, Żywiec, Anglik, Celni, oryle, Don, sieć, Ujejski, Ulana, Innowrocław.

Logogryf.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by krzyżyki czytane w pionowym kierunku dały przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Gatunek papugi. 3. Dopływ Wisły. 4. Środek lekarski ulatniający się. 5. Miasto na granicy Włoch i Austryi. 6. Opłata na granicy. 7. Samogłoska. 8. Miara angielska. 9. Miasto w Galicyi wschodniej. 10. Utwór Brodzińskiego. 11. Miasto starożytne, zniszczone. 12. Ptak na Jawie. 13. Imię żeńskie. 14. Pseudonim autora »Ian Dęboróg«. 15. Wyspa na oceanie Atlantyckim. 16. Najnowszy wynalazek komunikacyi. 17. Bezżeństwo duchowieństwa. 18. Otwór w Skałach. 19. Mieszkaniec północnej Europy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy jako nagrodę ostatni utwór Władysława Reymonta p. t. »Na krawędzie.

Wyjaśnienie.

W numerze 6-tym naszego pisma zamieściliśmy fotografię p. Jakóba Pollaka ze Stanisławowa, o którym wszystkie dzienniki lwowskie i krakowskie doniosły, iż został w Stanisławowie aresztowany, jako podejrzany o wspólnictwo z bandą Wasińskiego. Zamieszczając ten artykulik, postąpiliśmy w najlepszej wierze, nie przypuszczając, że zarówno policya, jak dzienniki nasze, padły ofiarą mistyfikacyi. Okazało się bowiem, że aresztowanie p. Pollaka było aktem zemsty ze strony jego przeciwników politycznych i jednym z bardzo brzydkich epizodów walk partyjnych na gruncie stanisławowskim. Wbrew naszym intencyom dotknęliśmy p. Pollaka przez powtórzenie tej głośnej sprawy za innemi pismami, to też mając obecnie wiarygodne wiadomości, iż zarzuty przeciw niemu podniesione, były wyssane z palca, uważamy za nasz obowiązek dobrowolnie i z własnej inicyatywy fakt ten skonstatować, wyrażając przekonanie, że tego rodzaju oświadczenie będzie najlepszem dla p. Pollaka zadośćuczynieniem.

Redakcya.

Materyały i krój angielski

Pierwszorzędna Pracownia Sukien Męskich

Leona Grabowskiego właściciel firmy: Gabryel Grabowski

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. Telefon Nr. 561.

Wykończenie artystyczne.

6—10

Najlepsze Narzędzia Laubzegowe!



Wyrzynanie laubzegą należy do najbardziej pouczających i najładniejszych zajęć w wolnych chwilach tak dla młodego jak i starszego wieku.

Nr. 9307.
Najlepsze narzędzia na mocnym kartonie z 7 narzędziami i wzór, kompletny **3 kor. 50 hal.**

Nr. 9308.
10 najlepszych narzędzi laubzegowych ze wzorem **5 kor. 80 hal.**

Nr. 9306.
Tani garnitur z 4 narzędzi i wzoru **1 kor. 80 hal.**

Pieniądze będą zwrócone, jeżeli przyrządy nie będą się podobały.

Największy wybór narzędzi laubzegowych i rytowniczych w moim głównym katalogu który wysyłam każdemu na żądanie gratis i franko.

C. i k. nadw. dostawca **HANNS KONRAD** Dom eksportowy w **Brüx Nr. 845** (Czechy)

Największy dom eksportowy na całą monarchię austr.-węgierską
Założony w roku 1887. — Wysyłka do wszystkich części świata.

Szkodliwość nikotyny usunięta!

Zastosowanie wiedzy w życiu praktycznem wydało już niejednokrotnie zdumiewające rezultaty, przyniosło wiele pożytku ogółowi. Dziś hygiena święci prawie na każdym kroku tryumfy, zrozumiałem więc jest, że i fabrykacya **tutek cygaretowych** czyni postępy w tym kierunku, lecz nie wszędzie i nie zawsze z dodatnim rezultatem.

Moje wieloletnie próby, upodstawnione nauką i fachowem doświadczeniem, uwieńczone zostały ostatnimi czasy zdumiewającym skutkiem. Udało mi się bowiem dojść drogą badań do preparatu, znanego już dziś prawie wszędzie pod nazwą:

„SALVESOL"

Jest to **wata chemiczna,** mająca tak wielce pożądaną dla palących papierosy własność. że, by mnie nie posądzono o czczą przechwałkę — odsyłam Szan. Czytelnika do poniżej umieszczonego **uznania,** jakiem raczył mnie zaszczycić Wny Prof. Dr **A. Mars:**

Z przyjemością donoszę WPanu, że od czasu, jak używam Pańskiej waty „**Salvesol**" w cygarniczkach szklanych nie doznaję przykrych objawów, które mi dokuczały skutkiem palenia tytoniu. Wobec tego upraszam o nadesłanie mi za pobraniem pocztowem itd.

Lwów, 2 maja 1903. Z wysokiem poważaniem *Prof. Dr. Antoni Mars.*

Zakład przemysłowy wyrob. papier. „Noris"
Mr. W. BEŁDOWSKI, KRAKÓW, 3

BAZAR CUKROWY

KRAKÓW, Sławkowska 8

poleca: **Chałwę rosyjską, Rachat-Łokum oryginalne smyrneńskie, Kompoty, Marmolady, Galaretki itp.**

Zamówienia z prowincyi załatwia natychmiast.



Wózki dla dzieci, Meble bambusowe, Kosze do podróży i różne koszyki poleca po cenach fabrycznych

M. Brandt, Lwów

ul. Sykstuska 19. — Pierwsza kraj. fabryka wyrobów koszykarskich, bambusowych, wózków dla dzieci i mioteł z ryżowej słomy

---

Ces. i król. nadw. dostawca

CHRISTOFLE & Cie

Wiedeń I., Opernring 5, (Heinrichshof)

Zastawy i nakrycia stołowe

[illegible]

Największy wybór, najpiękniejszy format, także z prawdziwego srebra



We wszystkich miastach upoważnieni zastępcy. — Cenniki ilustrowane na żądanie darmo



NAJLEPSZE ZEGARY

odznaczone złotymi i srebrnymi medalami dostarcza uznana za bardzo rzetelną firma

pierwsza fabryka zegarów **HANS KONRAD** c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 860 (Czechy).

K. 3 K. 5·80



Niklowy zegarek »Remontoir« K. 3·—, systemu »Roskopf« patentowany K. 4·—, z podwójnemi kopertami K. 6·80, czarny stalowy zegarek »Remontoir« K. 4·—, szwajcarskiego systemu »Roskopf« patentowany K. 5·—, rejestrowany »Adler Roskopf-Remontoir« K. 7, prawdziwy srebrny »Remontoir« z mechanizmem »Gloria« K. 9·40 z podwójnymi metalowymi, stalowymi, telek. kowertami K 10·50 prawdziwy srebrny »Remontoir« systemu »Roskopf« patentowany K. 11·—, ten sam z podwójnemi kowertami K. 13·50, budzik konkurencyjny K. 2·90, budzik z podwójnymi dzwonkami K. 3·90, budzik alarmujący »Adler Roskopf« marki protokołowanej K 3·80 budzik z wieżowymi dzwonami K. 6·60, zegar »Schwarzwälder« K. 2·80, zegar z kukułką K. 8·50 zegar pendułowy K. 8·50.

Do każdego zegarka daje się rzetelną 3-letnią pisemną gwarancyę.

Zapewnienia zakupiony towar, w razie gdyby się nie podobał wymieniam najchętniej na inny, względnie zwracam pieniądze.

Proszę żądać mego bogato illustrowanego głównego cennika z przeszło 3000 illustracyami, który nadsyłam darmo i opłatnie wysyłam

47—62 1—14

J. SEDLACZEK Specyalny magazyn kołder i pościeli

Lwów, ul. Kopernika 2 (przy magazynie p. M. Teliczkowej)

poleca:

najtańsze kołdry maszynowe . .	po K	4·—	6·—	7·—
najtańsze kołdry klotowe (Briland)	„ „	9·—	11·—	
najtańsze kołdry wełniane atłasowe	„ „	11·—	13·—	15·—
najtańsze kołdry dwustronne . .	„ „	13·—	15·—	17·—
najtańsze kołdry secesyjne .	„ „	18·—	20·—	22·—
najtańsze kołdry jedwabne . .	„ „	16·—	18·—	20·—
najtańsze kołdry puchowe	„ „	24·—	28·—	30·—
Materace z 3 poduszek (Afryk) .	„ „	12·—	14·—	
„ włósienne .	„ „	25·—	30·—	35·—
Wkłady sprężynowe .	„ „	25·—	30·—	35·—
Poduszki z trawy morskiej . .	„ „	3·—	4·—	
Poduszki włósienne .	„ „	6·—	8·—	
Poduszki z puchu roślinnego . .	„ „	10·—	12·	
Jaśki „ „ „	„ „	2·—		
Poszewki . .	„ „	1·60	2·—	2·20
Prześcieradła na łóżko	po K	2·60	2·90	3·20 sztuka
Prześcieradła pod kołdry	„ „	5	5·60	6·40 (ręczne dziurki)
Sienniki do wózków dziec.	„ „	4·—	6·—	Afryk.
Sienniki do łóżek dziec.	„ „	8·—	10·—	Afryk.
Sienniki do łóżek wypchane słomą . . .	„ „	5·60	6·40	

Przerobienie Kołdry K 3·20
Przerobienie materacu „ 3·40

Pierze gęsie podolskie

Próbki wszystkich artykułów wysyłam najchętniej.

szare grube .	po K	2·60	klg.
szare ciensze .	„ „	3·40	„
białe grube .	„ „	4·60	„
białe lepsze .	„ „	6·—	„
białe najlepsze	„ „	8·—	„
puch biały .	„ „	8·—	„
puch szary .	„ „	7·—	„
puch najlepszy	„ „	12·—	„

Próbki wszystkich artykułów wysyłam najchętniej.

Pierze gęsie surowa niedarte kupuje i sprzedaje w każdej ilości!

Wszelkie zamówienia wykonuje ściśle w terminie oznaczonym.

8 20

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 510

Kraków Hotel Saski Telefon 510



ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego



i przyborów do podróży.

Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę! **Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a**



Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — **Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki i t. p. na składzie**

WŁADYSŁAW KOTERBICKI LWÓW AKADEMICKA 24

Niniejszem mam zaszczyt donieść Szanownej P. T. Publiczności, że otworzyłem przy ulicy Akademickiej L. 24 **Handel towarów korzennych, delikatesów, win i owoców południowych,** zaopatrując takowy w towary pierwszorzędnej jakości. Handel mój połączyłem z **pokojami do śniadań** urządzonemi z komfortem i wyśmienitą kuchnią; podaję obiady, kolacye oraz zimne i gorące przekąski. **piwo pilzneńskie i bawarskie.** — Prosząc o łaskawe poparcie mego przedsiębiorstwa kreślę się z głębokim szacunkiem *Wł. Koterbicki.*